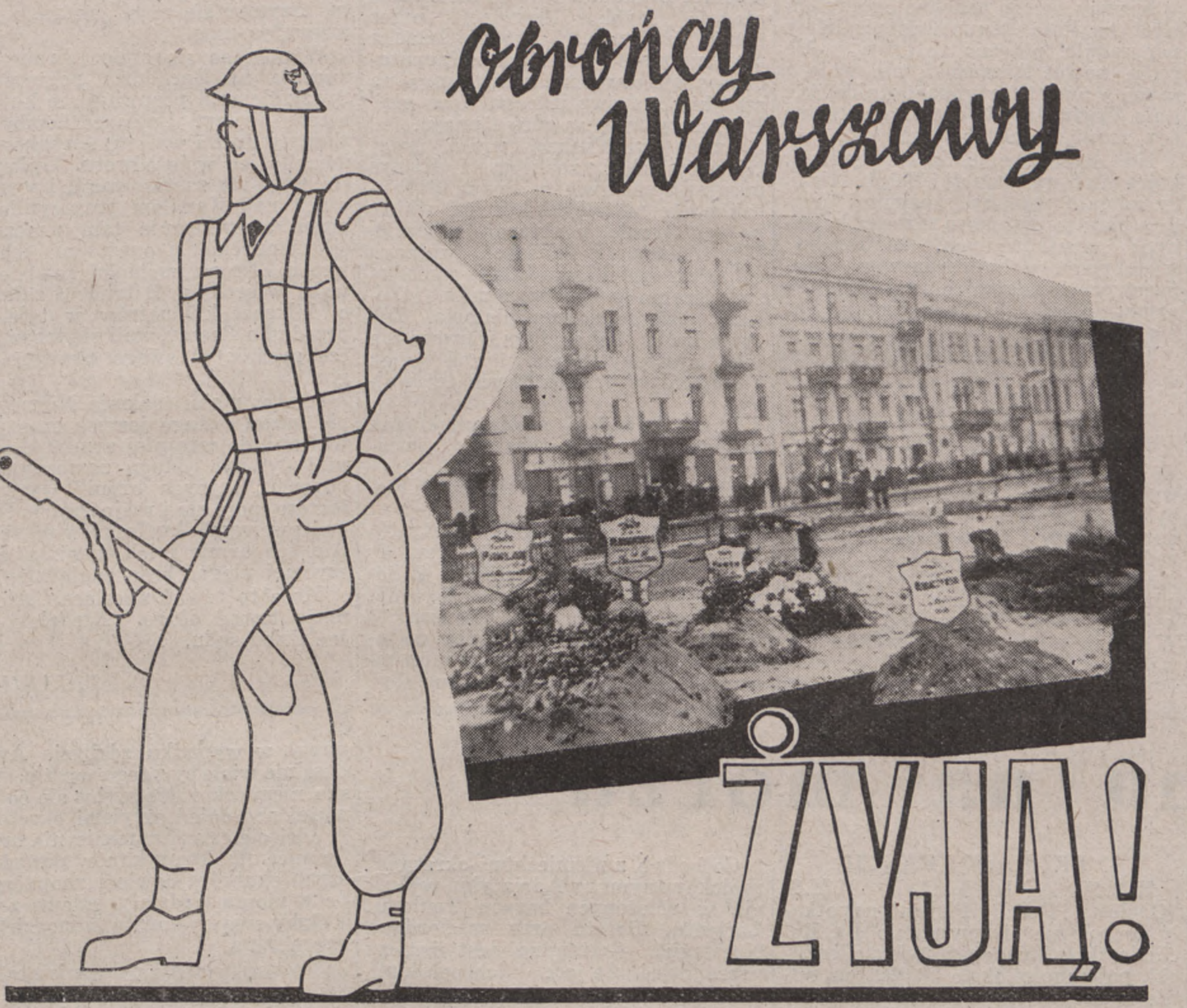
POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 2-go września 1944r.*** — **Rok VI. Nr. 35**

DWA WRZEŚNIE



rys. JAN POLIŃSKI

Znów łuna nad Warszawą. Ogień artyleryjski, wspomagany przez ciężkie moździerze i miotacze min, tłucze po mieście jak rozszalały młot. Z góry, grasujące bezkarnie samoloty niemieckie dopełniają dzieła zniszczenia. Ulice płoną, domy, te pokaleczone przed pięciu laty i te, które wtedy cudem ocalały, walą się w gruzy, a ciężki, czarny dym unosi się nad stolicą.

Wiele już dni i nocy Warszawa walczy z najeźdźcą, osamotniona, jak wtedy w 1939 roku, prawie bez pomocy z zewnątrz — i jak wtedy — jednako bohaterska i jednako zdecydowana na wszystko.

Jest dziwna i wielka w swej symbolice wymowa faktów, że pięciolecie wojny nasza stolica obchodzi walką orężną o wyzwolenie, po raz niewiadomo który, dokumentując wraz z całym Krajem wolę prowadzenia tej wojny aż do zwycięskiego końca.

Trudno o podobny przykład w historii. Nie szukajmy więc żadnych podobieństw na wschodzie czy zachodzie Europy, bo każde z tych porównań byłoby bluźnierstwem.

Ale w tej rozpaczliwej walce Armii Krajowej i ludności cywilnej jest nietylko nieustępliwość wobec najeźdźcy, upór i wola zwycięstwa, choćby za to zwycięstwo najwyższą cenę przyszło zapłacić. Jest coś więcej, a mianowicie wola decydowania o swym losie własnymi siłami, zamiast czekania aż obce bagnety usuną Niemców z Polski.

Ta wola rozstrzygania we własnym zakresie o losach Rzeczypospolitej jest nicią przewodnią, która snuje się nieprzerwanie przez polskie dzieje tej wojny, łącząc niewidzialną tkaniną piechura Kampanii Wrześniowej z obrońcą Tobruku, ze zdobywcami Monte Cassino i żołnierzami Armii Krajowej. Brzmi ona we wszystkich uchwałach Kraju, przejawia się bez reszty w jego wspaniałej postawie, nie da się niczym zagłuszyć i niczym zafałszować, ani zastąpić żadnymi międzynarodowymi sloganami o powszechnej szczęśliwości.

Chcemy być wolni, chcemy być u siebie. Bijemy się o wolność, jak dziadowie i ojcowie nasi — o wolność prawdziwą, bez zastrzeżeń i bez "protektoratów". O to zaczęliśmy tę wojnę, dla tego celu naród krwawi się każdego dnia i każdej godziny i o to bić się będziemy do końca.

Polska nie weszła do wojny na ślepo ani przez przypadek, nie została wciągnięta w wielką zawieruchę mimo woli, czy nawet wbrew woli, jak niektóre z państw sprzymierzonych. Decyzja Polski była wynikiem dojrzałego namysłu, była wyborem drogi krwawej i trudnej, ale — w naszej sytuacji — jedynej. Każda inna była drogą hańby i niewoli, kryła w sobie nieuchronnie jedną tylko ewentualność — utratę państwowego bytu, bez względu na to, jak pięknymi dekoracjami byłoby to osłonięte.

I choć nikt, jak dotychczas, nie był jeszcze prorokiem w tej wojnie, więc — choć trudno było przewidzieć rozwój wypadków — wiedzieliśmy jednak, co nas czeka, jaka może być cena zwycięstwa.

Przez te pięć lat Naród nie zawahał się przed żadną z ofiar. Bandera nasza była i jest na wszystkich morzach świata, lotnictwo walczyło i walczy nad Wielką Brytanią, w Afryce, we Francji, we Włoszech. Byliśmy i pod Narwikiem i w Lotaryngii, w Tobruku i pod Gazalą, nad Sangro i pod Piedimonte, jesteśmy teraz w Normandii. Ale nade wszystko, każdej chwili b y l i ś m y w Polsce. Przez te pięć lat żołnierz niemiecki, czy agent Gestapo, urzędnik cywilny, czy zwykły "*Parteigenosse*" — czuł zawsze za plecami, w dzień czy w nocy, nachylający się nad nim, groźny choć nieuchwytny cień Żołnierza Polski Podziemnej. I nie był pewny dnia ani godziny.

Nie liczyliśmy i nie liczymy nikomu ani krwi przelanej, ani ofiar czy strat, które u nas przewyższają na pewno udział wielu innych narodów w tej wojnie. Staraliśmy się być w porządku przede wszystkim w stosunku do samych siebie, do naszego narodu i państwa, a następnie w stosunku do naszych Sprzymierzeńców, z którymi związaliśmy się na dobre i na złe.

To nie polski "romantyzm" wypełnił te pięć lat. Nie były one "romantyczne", zwłaszcza dla ludzi w Kraju — o nie!

To jest ta straszliwa cena wolności, którą nam los każe płacić i którą płacimy bez przerwy.

Ale też udziałem naszym musi być wolność prawdziwa, bez zastrzeżeń, bez "ale". Inaczej cały sens tej wojny zniknąłby i doprawdy trudno by się doszukać przyczyny, dla której się zaczęła. Lepszą przyszłość świata zbudować można tylko na ścisłym przestrzeganiu zasady, że każdy naród, bez względu na to jak jest liczny i na jakiej przestrzeni rozsiadły, ma jednakie prawo do wolności, która jest jedna i ta sama bez względu na szerokość geograficzną.

W tym się wyraża chyba najpełniej idea demokracji — i to najwyższego rzędu, demokracji w stosunkach między narodami. Zaiste, świat mało poszedłby naprzód, gdybyśmy się tylko o demokrację jednostek troszczyli. Jakże łatwo wtedy o paradoks, że państwa, mające szczerze demokratyczne stosunki wewnętrzne, patrzyłyby spokojnie, jak inne narody są uciskane, albo zgoła czynny w tym uciskaniu brały udział. Nie o taką demokrację walczymy.

Dziś chyba nikt nie będzie bronił Locarna, gdzie zdecydowano, że bezpieczeństwo nad Renem — to jedno, a bezpieczeństwo nad Wisłą — to co innego. Ta wojna dowiodła bowiem, że gdy zagrzmią strzały nad Wisłą, niedługo trzeba czekać, aby je usłyszeć nad Renem i nad Tybrem, nad Kanałem La Manche, czy w Afryce, w dalekiej Burmie i na wybrzeżach Pacyfiku.

Polska jest pierwszym kombatantem tej wojny, prowadzi ją najdłużej i ani na chwilę nie zmieniła swojej postawy. Kraj odrzucał i odrzuca każdą próbę kompromisu, każdą złudną perspektywę takiego czy innego "ułożenia się" z tym czy innym partnerem, walczy, wierzy, trwa. Walczy o wolność, o prawo do niezależnego bytu, o całość i niepodległość prawdziwą.

Warszawa! Dla wielu z nas — miasto "lat dziecinnych", dla wszystkich — symbol honoru i bohaterstwa, przykład niedościgniony. Odgłosy walk, jakie tam się toczą, mają swoją wielką wymowę. Są one odpowiedzią na wszelkie próby kompromisu, na zachętę do okazania słabości zamiast mocy, na perspektywę ustępstw i rezygnacji.

Poprzez barykady stolicy, w łoskocie walących się domów, w huku pękających bomb i w monotonnym ponurym stuku karabinów maszynowych, łatwo jest usłyszeć jedno słowo, twarde i harde jak dola żołnierska — N I E.

ZYGMUNT JASTRZĘBSKI

WIERSZE

JERYCHO

Sześć dni już okrążamy dokoła te mury
I oto siódmy nastał, i lud twój do góry
Ogromny podniósł okrzyk, i trąby zagrały,
By stało się proroctwo twej mocy i chwały.

Drży twierdza niezdobyta, mur pęka i wieża,
I okrzyk co raz większy o miasto uderza
I bramy niedostępne taranem roztrąca,
By stało się jak ręka twa chciała karząca.

Lecz, Panie, spojrzyj na nas! Pod lawiną miasta,
Co sypie się rozbite, w zwalisko urasta,
Został lud najwierniejszy, bez lęku tam stoi,
Aby stało się zadość każdej próbie twojej.

Spójrz, bo lecą kamienie i ciągnie zagłada
I stać się może nagle, że z miastem, co pada,
Runie wojsko zmiażdżone, twój znak i sztandary!
— Nie! Jozue nie zginął pod gruzem swej wiary.

TEBY

Posłuchajcie lutnisty, posłuchajcie Amfiona,
Gdy swą lirę nastraja i bierze w ramiona,
I aleją cedrową, pod cień sykomory,
Idzie bogom przygrywać w pogodne wieczory.

Zasłuchało się wszystko. Pojęły to tchnienie
Nawet w górach i polach leżące kamienie,
Poruszyły się z miejsca i stopą kanciastą
Idą, żywe gęsiego, układać się w miasto.

Ułożyły się w mury, rozsiadły się w domy,
Lira gra, dźwięk jej rośnie i kształt ma widomy,
A lutnista z natchnienia, z tajemnej potrzeby
I ze śpiewu buduje ojczyznę swą, Teby.

Amfionie, spójrz jak twoja dziś błąka się dusza,
Dźwięk na lutni wygasa i bogów nie wzrusza,
A szaleńczy poeta, pojąwszy twe tchnienie,
Wszedł na gruzy i słucha co szepcą kamienie.

STROFA O WOLNOŚCI

Potrzeba nam wolności, jak trzeba przyrody,
Apostolstwa obłoków i ptaków nad krajem,
Jak rzek płynących prawnem przeznaczeniem wody
I gór, co rosną w ziemi skalnym obyczajem,
Jak ruchu świtów, nocy i gwiazd śród ciemności,
Ruchu zmian, ruchu trwania, systemu w systemie,
— Jak Bogu co boskiego, nam trzeba wolności
Oddanej człowiekowi, by zaludniał ziemię.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Przegląd tygodniowy

PARYŻ I WARSZAWA

Po pięciu dniach walk ulicznych Paryż, ostatecznie oswobodzony przez francuską Armię Krajową, lud i nadciągające z pomocą wojska francuskie i amerykańskie — upojony jest dzisiaj zwycięstwem. Paryż w walce odnalazł dawną wielkość. Z nim cała Francja.

Nie były te walki przewidziane przez Sprzymierzonych. Jak pisaliśmy już, szło im raczej o to, by odciąć Niemców od Paryża, a Paryż od Niemiec. Powstanie paryskie wybuchło z nakazu francuskiej woli narodowej. Dowództwu sojuszniczemu pomieszało szyki. Trzeba było rzucić 2-gą dywizję pancerną francuską Leclerca i 4-ą dywizję amerykańską na pomoc, do walk ulicznych, niepożądanych ze względu na oszczędzanie miasta i uciążliwych dla broni pancernej. Jednakże nikt nie czyni zarzutów francuskim dowódcom, że podjęli walkę. Że chcieli sami oswobodzić swą stolicę. Nikt nie czyni z nich przestępców i sądem im nie grozi, a Wódz Naczelny wojsk sprzymierzonych składa hołd niezłomnemu duchowi Paryża.

Przebieg wydarzeń przypominał pewne dni bitwy w Warszawie. Najpierw zaskoczenie Niemców, powstanie robi postępy w walce ulicznej, opanowuje całe prawie miasto i /czego nie było w Warszawie/ zawiera zawieszenie broni z Niemcami, którzy mają się wyprowadzić. Dnia 23 sierpnia idzie po świecie wieść, że Paryż wolny. Biją dzwony u św. Pawła w Londynie.

Ale nazajutrz następuje zwrot krytyczny. Niemcy kontratakują. Odbijają znaczną część miasta. Mają inicjatywę. Zaczynają burzyć, palić i mordować. Pojawiają się ich czołgi na ulicach. Kto wie, czy i tym razem sam Hitler nie kazał im zawrócić — i mścić się. Sprzymierzeni byli, szczęściem, niedaleko i interweniowali niezwłocznie. Szczęśliwa 2-a dywizja pancerna francuska mogła rankiem 25 sierpnia pośpieszyć na pomoc swej stolicy i walkę w niej rozstrzygnąć.

Warszawa dotąd walczy z niewiarogodną wytrwałością i energią, już blisko cztery tygodnie. Walczy prawie bez wsparcia, samotnie. Jej osamotnienie burzy już umysły nie tylko Polaków. Głęboki niepokój zaznacza się w opinii świata. Nie tylko Polacy wołają już o pomoc dla niej. Nie tylko oni upominają się o prawa kombatanckie Armii Krajowej. Choć późno, odzywać się zaczynają głosy w tej sprawie nie jednostek tylko, ale mas. Przemawiać zaczyna sumienie narodów. Nie tylko mówią już obcy z podziwem o "Polsce niezwyciężonej". Sprawę pomocy Warszawy i ujęcia się za Armią Krajową czynią — jak "*Observer*", "*Economist*" i inne pisma — sprawdzianem tego, ku czemu idzie świat. Sprawdzianem i przestrogą.

POGROM WE FRANCJI

Generał Montgomery w rozkazie do swych armii nazwał zwycięstwo w Normandii "stanowczym, zupełnym, rozstrzygającym". Istotnie nie było to zwycięstwo pospolite, "*ein ordinärer Sieg*" — według klasycznej terminologii pruskiej.

Jak w bitwach starożytnych, były dwie fazy: właściwa bitwa, w której złamano i otoczono przeciwnika i druga faza: rzeź, *caedes*. Ta druga faza zaczęła się, gdy nasza dywizja pancerna w ciężkiej walce osiągnęła Chambois i wzgórza na północ od tej miejscowości i nawiązała łączność z idącymi od południa Amerykanami. Wiemy dziś o desperackich próbach podjętych przez Niemców, by się przedrzeć i że główna ich masa z rozpaczliwym uporem uderzała na dywizję naszą, że sytuacja była groźna, dywizja na czas dłuższy odcięta, nawet rozerwana, że mogła być zatopiona przez ogromną przewagę wroga. Ostała się, odpierając ataki nie tylko od wewnątrz kotła, ale i od zewnątrz, szerząc spustoszenie w niemieckich czołgach, wozach, działach, zadając Niemcom straty wielokrotnie większe od strat własnych. Doczekała się odsieczy kanadyjskich towarzyszy broni i umożliwiła zdławienie i zniszczenie odciętej głównej siły niemieckiej przez armie sprzymierzone.

Zanim zlikwidowano "kocioł" na zachód od Falaise, już dokonywało się zniszczenie odchodzącego ku Sekwanie północnego skrzydła niemieckiego i tych sił, które w centrum i na lewym skrzydle zdołały wymknąć się lub przebić. Atakami lotnictwa dziesiątkowane i opóźniane, wyprzedzane przez armię Pattona na drogach do Paryża a później kolejno u przepraw w dół Sekwany, spędzone zostały wreszcie nad dolną Sekwanę w okolicę Rouen, tu u przepraw przez rzekę stłoczone i miażdżone bombami i pociskami. Część ich wydobyła się w porę na brzeg północny, część przedostała przez rzekę żywcem, porzucając sprzęt. Masa uległa zagładzie lub idzie w niewolę.

Gdy to piszemy, armia gen. Patcha, opanowująca południową Francję, posuwa się szybko "napoleońskim szlakiem" ku północy, na Lyon i Dijon. Armia Pattona grupuje znaczne siły nad górną Sekwaną na południowy wschód od Paryża, a jej straże przednie sięgają Troyes i Reims, gdzie odcinają Niemcom drogi odwrotu ku ich granicy. Inne części armii amerykańskich i brytyjskich w wielu miejscach przeszły Sekwanę między Paryżem a Rouen, grożąc wyjściem na tyły pozostałych nad kanałem La Manche sił niemieckich.

To co zostało Niemcom z ich armii we Francji południowej i południowo-zachodniej jest, jak się zdaje, w znacznej części odcięte, lub zagrożone odcięciem i zniszczeniem.

Niemcy zaczęli podobno ogólny odwrót na linię Renu. Jak pisaliśmy poprzednio, potężna to linia. Ale rzeki, nawet Amazonki, nie wojują same, a nawet fortyfikacje takie, jak linie Zygfryda, nie obronią się same bez armii do ich obrony.

Na sześćdziesiąt kilka dywizyj, które mieli we Francji i Belgii, Niemcy zdołają wydobyć najwyżej dwadzieścia i to częściowo zdziesiątkowanych i zrujnowanych. Z "Reichu" wydobyć mogą improwizowane z zapasowych formacyj rekruckich mięso armatnie. Ze Wschodu niczego już nie wydobędą.

Pogrom we Francji otwarł najazdowi wrota Niemiec.

WYŁOM NADDUNAJSKI

Dwa miesiące temu, gdy toczyła się jeszcze walka u normandzkiego wyłomu na Zachodzie, nienaruszona była wschodnia ściana "fortecy europejskiej", od dolnego Dniestru podnóżami Karpat przez Wschodnią Małopolskę i Wołyń, błota poleskie, górny Dniepr, Dźwinę, rzekę Wielikaja, jezioro Pejpus po Narwę. W ścianie tej ofensywa sowiecka wywaliła groźny wyłom nad górnym Dnieprem i Dźwiną, zalała cały obszar na zachód poza San, Bug, górną Narew i środkowy Niemen, odcięła wyspę niemiecką w Estonii i Łotwie. Po miesiącu, udało się Niemcom "zaryglować" wyłom od Karpat wzdłuż środkowej Wisły, poprzez Bug i Narew do granicy Prus Wschodnich i na tej granicy. Południowa część frontu, w południowej Besarabii i na Mołdawii nie drgnęła.

Tydzień miniony przyniósł tu nowe, gwałtowne zwichnięcie chwiejnej równowagi strategicznej, sądzimy, że już ostateczne.

Ofensywa sowiecka na Jassy, Kiszyniów, Bendery, Ismail rozbiła w ciągu kilku dni prawe, niemiecko-rumuńskie skrzydło frontu. Natychmiastową reakcją Rumunii był zamach stanu króla Michała w Bukareszcie, przyjęcie przez Rumunię proponowanych jej od kilku miesięcy warunków sowieckich i przejście jej czynne do obozu sprzymierzonych, połączone z uderzeniem na Niemców i odcięciem im odwrotu za Karpaty.

Próby przeciwdziałania niemieckiego zostały opanowane. Opuszczone przez Rumunów wojska niemieckie ulegają szybko likwidacji przez armie sowieckie. Brama Gałacka między dolnym Dunajem a Karpatami stanęła otworem, z nią droga na zagłębie naftowe Ploesti i w głąb Wołoszczyzny a w górę Dunaju.

Zwrot był błyskawiczny i nawet Niemców zdołał zaskoczyć. Kiedyś mawiano złośliwie o Domu Sabaudzkim, że nie zwykł kończyć wojny po tej stronie, po której ją zaczął. My, Polacy, w naszych wojnach z Turkami mieliśmy stale te same doświadczenia z hospodarami na Wołoszy. Ale to dawna historia. Decyzja króla Michała była zbawczą dla jego ojczyzny, stanowi zaś jeden z momentów przełomowych tej wojny.

Powstał wyłom naddunajski tak katastrofalny w następstwach, że cała ta połać Europy południowo-wschodniej przechodzi trzęsienie ziemi.

W ślad za Rumunią, Bułgaria zwróciła się o zawieszenie broni do Wielkiej Brytanii i Ameryki. Z Sowietami jest już, jak się zdaje, w doskonałym porozumieniu. Sojusznicze wojska niemieckie zaprosiła do opuszczenia kraju pod groźbą internowania. Następstwem tego musi być ogólny, a spóźniony odwrót niemiecki z Grecji i wysp wschodniej części Morza Śródziemnego, a w dalszej kolejności z Albanii i Jugosławii.

Nieszczęśliwe Węgry przeżywają głęboki wstrząs. Ujrzały przepaść u stóp.

W dalekiej Finlandii zapowiadają wyciągnięcie konsekwencji z wypadków rumuńskich. Z rokowaniami nie czekano na te wypadki.

Tego wyłomu Niemcy nie zaryglują łatwo. Wątpliwe, by mieli go czym zaryglować. Cały bok południowo-wschodni "fortecy europejskiej" stanął raptownie otworem.

DZIEŃ SĄDU

Przez kilka miesięcy poprzedzających inwazję, niemieccy komentatorzy radiowi wykładali otwarcie światu plan ocalenia Niemiec.

Silne armie na Zachodzie miały w razie inwazji uderzyć na lądujących Anglosasów i wrzucić ich w morze. Jednoczesne bombardowanie Anglii bombami latającymi miało wywołać przerażenie i zamęt. W wyniku kompromis lub ubezwładnienie przeciwnika na Zachodzie, rekoncentracja wszystkich sił do rozstrzygającej kontrofensywy przeciw Sowietom. Tymczasem front wschodni, zdany na własne, znaczne zresztą siły, trzymać się musi jak może, wygrywając czas.

Wiemy, co się stało. Armie niemieckie na Zachodzie pogromione, Sprzymierzeni posuwają się ku granicom Rzeszy. Latające bomby nie złamały ducha walki u Anglików; umocniły ich wolę odwetu. Upieranie się przy ich zastosowaniu i wyrzutniach nad Kanałem przyczyniło się może do związania tam znacznych sił niemieckich i opóźnienia ich odwrotu. Front wschodni raz się zawalił w środku. Z trudem załatany o kilkaset kilometrów w tyle, na przedpolu Rzeszy, wali się teraz jeszcze groźniej u swego prawego węgła.

Innego planu ocalenia Niemcy już nie mają. Mogą jeszcze czas jakiś walczyć, do ostatniej armii, do ostatniej dywizji. Mogą zastosowaniem nowych "tajnych broni" wyrządzić jeszcze sporo zła i rozjątrzyć ludzkich i niemściwych Anglosasów do reszty. Ale ich armie i ich dywizje coraz szybciej ulegać będą zagładzie.

Może to trwać miesiące. Ale nie może trwać długo. Niedaleki jest już dzień sądu.

TRIARIUS

Wojna na morzu

DRUGA INWAZJA

Druga inwazja stała się logicznym dalszym ciągiem pierwszej. A jeśli liczyć od początku, mieliśmy właściwie cztery: afrykańską, włoską, normandzką i obecnie prowansalską. Oto czysta korzyść wypływająca z panowania na morzu.

Prawdopodobnie nie na tym koniec. Nie jest wykluczone, że Sprzymierzeni lądować będą jeszcze i na innych brzegach. Panując na morzu mają wybór miejsca i czasu w swoich rękach. Niemcy zaś trzymać muszą duże siły wzdłuż zawiłych linii brzegowych Bałkanów, Francji, Belgii, Holandii, Danii, Norwegii, no i samej Rzeszy — właśnie ze względu na niepewność, gdzie nowe desanty nastąpią.

Druga inwazja przeprowadzona została po mistrzowsku. 16.000 pocisków ciężkiego kalibru, wystrzelonych z okrętów wojennych, oraz potężne bombardowanie lotnicze, utorowały drogę wojsku. 800 okrętów zabezpieczyło operację znakomicie. Lądowanie odbyło się prawie bez strat i w chwili gdy piszemy te słowa — Toulon jest w trakcie likwidacji a Marsylia zajęta. Niemieckie siły zbrojne na południu Francji czeka los gorszy od losu Anglików w końcu XVIII wieku. Oblężony bowiem wówczas przez Francuzów Toulon został wprawdzie zdobyty, ale Anglicy dzięki swej flocie zdołali się wycofać. Niemcy floty we właściwym tego słowa znaczeniu dziś nie mają, okręty francuskie w Toulonie są po większej części niezdatne do użytku, a zresztą wątpliwe czy załogi ich walczyć by zechciały; jedyna więc droga wyjścia jest zamknięta. Podobno dowodzący na tym odcinku admirał Wieder popełnił samobójstwo.

Przyjemnie stwierdzić, że polska bandera jest w operacjach tych również reprezentowana.

NA BAŁTYKU

Flota niemiecka, bezsilna na wodach Zachodu, wciąż jeszcze panuje na Bałtyku. Dzięki niej armie niemieckie bronią się na wysuniętych pozycjach inflanckich. Dzięki niej, w chwili gdy piszemy te słowa, broni się zaopatrywana z morza Ryga. Marynarka sowiecka, która bardzo owocnie działała w Zatoce Fińskiej, a poniekąd i Botnickiej, tym razem jednak jest nie dość silna, by skutecznie przeszkodzić komunikacjom przeciwnika.

Tymczasem Szwecja, śledząc czujnie przebieg wydarzeń, rozbudowuje swą flotę w coraz szybszym tempie. Zupełnie nie powstrzymuje jej fakt, że Bałtyk jest morzem wewnętrznym, że lotnictwo może go opanować z baz brzegowych. Rozbudowa marynarki szwedzkiej idzie zresztą równolegle do rozbudowy lotnictwa morskiego i lądowego.

Operacje na brzegach La Manche wykazały bowiem, że bez marynarki nie można ani lądować na wybrzeżach nieprzyjaciela, ani bronić się na własnych. To też nowe krążowniki szwedzkie mają być specjalnie przystosowane do operacji przybrzeżnych, z uwzględnieniem ostatnich doświadczeń. Mają to być okręty odbiegające zupełnie od istniejącego typu, mogące się mierzyć nawet z silniejszym przeciwnikiem.

Wracamy więc znów do idei "okrętów narodowych". Nie do naśladowania i wielkich flot w miniaturze, ale do budowy pełnowartościowych, nowoczesnych zespołów, zdolnych do zagrożenia każdemu przeciwnikowi — w odpowiednich warunkach.

U BRZEGÓW FRANCJI

H.M.S. "Diadem", H.M.S. "Onslow" i O.R.P "Piorun" napotkały w połowie sierpnia koło La Rochelle duży transportowiec niemiecki, pojemności około 10.000 ton, silnie uzbrojony. Eskorta transportowca uciekła pod osłonę baterii brzegowych. Okręty sprzymierzone celnym ogniem artyleryjskim uszkodziły statek, po czym "Piorun" wykończył go torpedą.

Żegluga niemiecka u brzegów Francji kończy się. Co raz to jakiś konwój, czy pojedynczy okręt, ginie w blokadzie morskiej lub lotniczej Sprzymierzonych. Od Norwegii po Bałkany Niemcy pływają tylko "przypadkowo".

Co będzie z niemieckimi okrętami, zablokowanymi na Adriatyku, w Grecji, w oblężonych bazach Toulonu, Lorientu, Brestu oraz w fiordach Norwegii? — trudno jest jeszcze przewidzieć. Że jednak ich położenie jest krytyczne — rzecz jasna. Jeśli nawet część ich wydostanie się, droga do portów ojczystych będzie dla nich równie trudna do przebycia, jak w r. 1914 dla admirała von Spee.

LEKCJA AVRANCHES

Cztery dywizje pancerne rzucili Niemcy na adcinek Mortain-Avranches, usiłując przeciąć wojska amerykańskie i zepchnąć do morza. Natarcie to nie powiodło się. Ale już z góry można było powiedzieć, że nawet w wypadku zdobycia Avranches nie wiele by z tego wyszło. Wojska niemieckie dostałyby się co najwyżej pod ogień artylerii okrętowej. A odcięcie czy odrzucenie nie mogłoby mieć dla Amerykanów poważniejszych skutków, bowiem zaopatrywane z morza oddziały lądowe zachowałyby swą całkowitą samodzielność operacyjną.

Na tym właśnie polega istota operacji amfibijnych, to znaczy lądowo-morskich. Na "czystym" lądzie otoczenie czy oskrzydlenie ma swą dawną wartość. Natomiast oparcie o morze — i to właśnie na wodach ciasnych — daje całkowitą swobodę dowozu posiłków i zaopatrzenia.

Cytując Churchilla, mówiącego o strategii kaprala Hitlera dodać można, że Führer popełnił dwa zasadnicze błędy:

1/ myślał, że marynarkę można zastąpić lotnictwem, choć w istocie lotnictwo tak samo nie zastąpi marynarki, jak wojsko czy marynarka nie zastąpią lotnictwa;

2/ obronę wybrzeża powierzył generałom lądowym, nieświadomym taktyki morskiej.

A przecież nikt inny tylko właśnie sam stary Moltke pisał przed 60 z górą laty, że twierdze na wybrzeżu nie mogą zastąpić floty i że bierna obrona wybrzeża to odbieranie razów bez możności skutecznego ich oddania.

OSTROŻNIE Z "KACZKAMI"

Z wielkimi zastrzeżeniami należy przyjmować dziennikarskie wiadomości o zajmowaniu portów francuskich. Przykłady Cherbourga, St. Malo, Marsylii i Tulonu świadczą, że co innego zajęcie kilku ulic, a co innego opanowanie, a tym bardziej uruchomienie portu. Małe garnizony niemieckie potrafią bronić się niekiedy tygodniami w fortach nadbrzeżnych, uniemożliwiając korzystanie z danego portu.

Wiadomości o wylądowaniu sprzymierzonych pod Bordeaux, Arcachon i St. Jean de Luz okazały się zwykłymi kaczkami dziennikarskimi. Miały tam miejsce tylko akcje okrętów przeciwko bateriom i żegludze przybrzeżnej nieprzyjaciela. Okręty polskie brały w nich udział.

Tak samo "Tirpitz", którego dzienniki już unieszkodliwiły, pływa w dalszym ciągu i niedawno był obiektem nowego nalotu "*Fleet Air Arm*". /lotnictwa morskiego/. Okazuje się, że atak nawodny jest w stosunku do okrętów ciężkich znacznie skuteczniejszy od powietrznego.

PIĄTA ROCZNICA

W dniu 1 września b.r. Polska Marynarka Wojenna obchodzi piątą rocznicę nieprzerwanej ani na chwilę walki z Niemcami.

JULIAN GINSBERT

Z tygodnia na tydzień

21 sierpnia: Dywizja Pancerna toczy ciężkie i krwawe walki w rej. Chambois, odpierając silne kontrataki otoczonych Niemców.

—Oddziały II. Korpusu posunęły się naprzód we Włoszech między rzekami Cesano a Metauro. Zajęto Il Vicininato, San Constanzo, Mondavio, Serefini, Palerno. Czołgi polskie dotarły do Cerasa.

—Ogłoszono, że dnia 12 bm. O.R.P. "Piorun" brał udział w walce w zespole okrętów alianckich w Zatoce Biskajskiej. W trakcie walki O.R.P. "Piorun" storpedował średnich rozmiarów statek nieprzyjacielski.

—Szczególnie ciężkie walki w Warszawie w rej. Starego Miasta. Armia Krajowa zdobyła gmach Banku Polskiego i PAST'y przy ul. Zielnej.

—W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie odparłszy kontrataki niemieckie na płn.-wsch. od Pragi, same atakują.

—Oddziały francuskie wkroczyły do Toulonu. Partyzanci francuscy zajęli Toulouse.

—Rozpoczęła się konferencja Trzech Mocarstw w Dumbarton Oaks.

22 sierpnia: Sprzymierzeni dotarli do Deauville, Lisieux i Sens.

—Nowa ofensywa sowiecka w Rumunii. Wojska sowieckie zajęły Jassy oraz Zambrów w Polsce.

—Oddziały Armii Krajowej wycofały się z rej. Politechniki w Warszawie.

—Kobiety Warszawy zwróciły się z apelem do Ojca św.

—II. Korpus działa na płn. od rzeki Metauro. Zajęto Orciano.

23 sierpnia: Ogłoszono, że po czterech dniach walk i po zawarciu rozejmu z Niemcami, Paryż został oswobodzony. Uwolniona została Marsylia. Sprzymierzeni dotarli do Montargis i Meaux oraz od płd. dotarli do Grenoble. Walki w Lisieux.

—Walki na gruzach Starego Miasta w Warszawie. Odzyskano gmach Politechniki. Zdobyto gmach policji na Krakowskim Przedmieściu.

—Wojska sowieckie zajęły Dębicę na wsch. od Tarnowa. Odparto ataki niemieckie koło Pragi.

—Ogłoszono, że Rumunia przyjęła warunki rozejmu podyktowane przez ZSRR, W. Brytanię i St. Zjedn.

24 sierpnia: Sprzymierzeni zajęli Pont l'Eveque, Lisieux oraz dotarli do Troyes.

—Za dnia 1.300 bombowców amerykańskich atakowało z baz brytyjskich obiekty przemysłowe w północnych i środkowych Niemczech, oraz 900 bombowców z baz włoskich bombardowało obiekty w Czechosłowacji.

—Wojska sowieckie zajęły Kiszyniew.

—Bułgaria zwróciła się do Sprzymierzonych o warunki pokoju.

—Warszawa wystosowała apel o pomoc dla wygnańców ze stolicy, znajdujących się w strasznych warunkach w obozie w Pruszkowie.

—Ogłoszono, że ZSRR przestał uznawać poselstwo Australii w Moskwie jako reprezentanta interesów Rządu R.P. w Rosji.

25 sierpnia: Sprzymierzeni zajęli Cannes, Grasse i Antibes. Walki w Paryżu ustały. Generał de Gaulle w Paryżu. W Normandii Sprzymierzeni zajęli Elbeuf.

—Za dnia 1.300 bombowców amerykańskich atakowało cele wojskowe w Niemczech, Belgii i Francji.

—Żołnierze polscy dotarli do Madonna del Ponte, u ujścia rzeki Metauro.

—Wojska sowieckie zajęły Tartu w Estonii. W nocy z 24/25 lotnictwo sowieckie bombardowało cele na płn. od Tylży i koło Gałaczu.

—Rumunia wypowiedziała wojnę Niemcom.

—Warszawa w dalszym ciągu silnie bombardowana. Stan posiadania obu stron bez poważniejszych zmian.

—Posuwające się naprzód z różnych kierunków oddziały polskie, kanadyjskie, brytyjskie i amerykańskie nawiązały łączność we Ie Neubourg. Oddziały kanadyjskie i polskie nacierają w kierunku ujścia Sekwany.

26 sierpnia: Wojska sowieckie dotarły do Bukaresztu. Lotnictwo Sprzymierzonych, z baz włoskich, wspierało wojska rumuńskie walczące przeciw Niemcom koło stolicy Rumunii.

—Arles, Avignon, Nimes, Montpellier, Carcassone zostały uwolnione od Niemców.

—Natarcia nieprzyjaciela na Stare Miasto w Warszawie. Rozszerzono stan posiadania w części Czerniakowa.

27 sierpnia: Sprzymierzeni dotarli do Marny koło Lagny. Walki o Rouen.

—Lotnictwo brytyjskie bombardowało w nocy z 26/27 Królewiec oraz b. silnie za dnia Zagłębie Ruhry.

—Wojska sowieckie zajęły Gałacz.

—Oddziały polskie posunęły się naprzód, mimo zaciętego oporu Niemców, o jedną milę na zachód od Borgo Lucrezia.

—Na odcinku Starego Miasta w Warszawie uciążliwe walki. Oddziały Armii Krajowej zajęły odcinek Alei Sikorskiego /dawna Al. Jerozolimska/.

Maczuga we krwi skąpana

(Korespondencja własna "Polski Walczącej" z Normandii)

NA ODPOWIEDZIALNYM ODCINKU

Nie mamy szczęścia do wzgórz. Lała się polska krew na wzgórzach Monte Cairo i "Widmo", szczodrze zrosiliśmy krwią Monte Cassino, a teraz znów wyrosło na naszej drodze wzgórze ochrzczone nazwą "Maczuga". Posiadanie tego wzgórza, panującego nad dużym szmatem ziemi, równało się całkowitemu odcięciu drogi ucieczki Niemców z worka pod Falaise. Zadanie zdobycia i utrzymania tego wzgórza powierzono Polakom. Drugą taką kluczową pozycją było Chambois, położone nieco dalej na południe od "Maczugi".

Po triumfalnym nieomal pochodzie przez dolinę rzeki Dives, po dwudniowym pościgu za uciekającymi Niemcami, wydawało się na pozór, że to nowe zadanie będzie można wykonać bez zbyt dużych ofiar. Od południa ciągnęli Amerykanie i francuska dywizja generała Leclerc'a, z zachodu napierał na Niemców korpus brytyjski, tuż obok mieliśmy dywizje kanadyjskie.

Początkowy rozwój wydarzeń zdawał się potwierdzać przewidywania. Coprawda pułk pancerny toczył ciężkie walki w lasach Champeaux, spotkawszy na swojej drodze uciekającą dywizję niemiecką, ale łączność nie została zerwana, a inne jednostki Dywizji posuwały się naprzód bez specjalnie wielkich trudności. Odsiecz wysłana na miejsce walk pułku przyszła na czas. W sobotę 19-go sierpnia zdobyliśmy Chambois. Opór niemiecki na wzgórzu został również przełamany bez specjalnie dużych strat z naszej strony.

TRZY DNI I DWIE NOCE W OGNIU

Nadeszła jednak noc z soboty na niedzielę, noc, podczas której na bronione przez nas pozycje runęła lawina niemiecka. Niemcy zrozumieli, że otaczający ich pierścień został zamknięty. Jedyna, najkrótsza droga ucieczki prowadziła przez pozycje polskie. W tym też kierunku wymierzone zostało ostrze wszystkich uderzeń.

Niedobitki szesnastu dywizyj niemieckich, w tym pięciu pancernych, z furią, wściekłością, po desperacku rzuciły się do walki. Nie była to walka prowadzona według przyjętych prawideł sztuki wojennej, nie było w tym planu ani żadnych założeń taktycznych. Po prostu uciekał kto mógł i jak mógł, szukając wolnych przesmyków, bijąc głową o mur.

W "Tygrysach" i "Panterach" uciekali niemieccy generałowie, na los szczęścia, jak Bóg da. Strzelano z tych "Tygrysów" i "Panter" na wszystkie strony, niejednokrotnie na ślepo. Za generałami ciągnęli oficerowie i ci wszyscy, którzy mieli do rozporządzenia jakiekolwiek pojazdy i trochę benzyny. Kto nie miał benzyny zaprzęgał konie do samochodu. Jestem przekonany, że o benzynę toczono walki między sobą. Żołnierze oczywiście przedzierali się pieszo.

Poszczególne oddziały i pułki niemieckie walczyły na własną rękę, bez żadnych rozkazów z góry. Tej bezplanowości i dezorganizacji mamy chyba do zawdzięczenia fakt, że zdołaliśmy przetrzymać uderzenie nieprzyjaciela wielokrotnie silniejszego od nas, nieprzyjaciela, który bądź co bądź tworzył do niedawna wyborową 7-mą armię.

Nad Chambois, gdzie dołączyli do nas Amerykanie, nad "Maczugą", rozpętało się od soboty piekło. Artyleria, moździerze, działa czołgów niemieckich, karabiny maszynowe — wszystko kierowało swój ogień przeciwko nam. Odpowiadaliśmy pociskiem na pocisk, atakiem na kontratak. Grzały się lufy, ręce opadały ze zmęczenia, powieki sklejał sen, wokoło jęczeli ranni. Ale trzeba było wytrwać za wszelką cenę.

Tak przyszła niedziela. Uderzenia niemieckie wzmogły się, z drugiej bowiem strony, od wschodu, podeszła dywizja niemiecka, chcąc przyjść z pomocą uciekającym. Wzięci w dwa ognie Polacy walczyli dalej, chociaż Chambois zostało odcięte od "Maczugi", a "Maczuga" od tyłów Dywizji. Do wieczora amunicja została nieomal wyczerpana. Kończyły się również zapasy benzyny w czołgach, kończyły się rezerwowe racje jedzenia. Rannych z Chambois udało się cudem przetransportować pod ogniem na stronę amerykańską. Ranni na "Maczudze" leżeli w skrwawionych bandażach prowizorycznych opatrunków.

Kłopot był również z jeńcami. Przez pewien okres czasu wzięty do niewoli generał niemiecki siedział w polskim czołgu, który walczył. Trudno sobie chyba wyobrazić komiczniejszą sytuację w chwilach grozy. Ponieważ nie było możliwości przeprowadzenia jeńców na polską stronę — w Chambois oddano ich za pokwitowaniem Amerykanom. Na "Maczudze" jeńcy musieli czekać.

W nocy z niedzieli na poniedziałek nadeszła pierwsza pomoc z nieba. Nasze samoloty zrzuciły zasobniki z amunicją, benzyną i jedzeniem. Nie było tego zbyt dużo, ale w każdym bądź razie umożliwiło dalsze kontynuowanie walki i powstrzymywanie głównych sił niemieckich. Pod ogniem naszych dział "przeciekały" jedynie pojedyńcze czołgi i wozy pancerne Niemców, ryzykujące na "chybiłtrafił".

Tak wytrwano do poniedziałku wieczór, kiedy napór niemiecki zaczął słabnąć. Wytrwano trzy śmiertelnie długie dni i dwie noce, nie mówiąc o dniach i nocach walk stoczonych poprzednio. Łączność w terenie została wreszcie nawiązana, Kanadyjczycy ruszyli wreszcie naprzód.

NAZAJUTRZ PO BITWIE

Na "Maczugę" dotarłem we wtorek rano, posuwając się w kolumnie naszych samochodów z zaopatrzeniem i sanitarek. Już u podnóża góry uderzyła w nozdrza ohydna woń trupów. Czym wyżej, tym było gorzej. Wśród rozbitych i spalonych czołgów, samochodów, wozów różnego rodzaju leżeli zabici Niemcy. Nigdy w życiu nie widziałem potworniejszego widoku. Cały stok góry pokryty był setkami trupów. Grozę tego obrazu powiększały jeszcze obrzękłe kadłuby końskie.

Na szczycie "Maczugi" powitała mnie "załoga" tej niezdobytej, leśniej fortecy. Blade, pokryte dużym zarostem twarze, oczy płonące gorączką. Tu i ówdzie błąkał się uśmiech, bolesny uśmiech ludzi wyczerpanych do ostatka.

Dowódca batalionu piechoty, pułkownik ochrzczony "Krwawa Koszula", w przestrzelonym hełmie i w koszuli nasiąkłej skrzepłą krwią — zorientował mnie w sytuacji.

—Tu walczyły — mówił pułkownik — pułki pancerne i bataliony piechoty.

—A skąd atakowali Niemcy?

Pułkownik zatoczył szerokie koło ręką.

—Zewsząd. Były momenty niezmiernie ciężkie, ale — jak pan widzi — nie dali nam rady.

Krok za krokiem idę za pułkownikiem przez polankę zrytą pociskami. Od czasu do czasu pułkownik przystaje, patrząc na ciała poległych żołnierzy, jak gdyby uprzytamniał sobie momenty walki i okoliczności w jakich zginęli.

—Podchorąży Konstanty . . . Przedstawię go do odznaczenia i awansu pośmiertnie. Jak to nigdy nie wiadomo, co w kim siedzi — mówi pułkownik na pół do mnie, na pół do siebie — zawsze był z nim kłopot w Szkocji. A tu był wszędzie pierwszy. Pchał się w największy ogień, dodawał otuchy tracącym siły żołnierzom . . . Wspaniały żołnierz!

Jedna rzecz zastanawia mnie w pułkowniku i we wszystkich żołnierzach, z którymi potem prowadzę rozmowy: stosunek do śmierci. Ta śmierć była tak blisko, że przestała nieomal być straszna. Każdy był wystawiony na jednakowe niebezpieczeństwo, każdy grał ze śmiercią w ciuciu-babkę. Ton i sposób, w jaki wszyscy mówią o poległych, nie ma w sobie cienia patosu, żadnej łzawej nuty.

—Kazikowi odcięło głowę jak brzytwą — mówią żołnierze. — Pochowaliśmy go bez głowy. Nie można nigdzie znaleźć.

Na wzgórzu "Maczuga" nawet takie słowa nie są makabryczne.

—Co, i tego mi zabili? — przystaje pułkownik przy zwłokach jakiegoś żołnierza, leżących w pobliżu trzech trupów niemieckich.

Zabity jednak podnosi głowę.

—Nie — mówi — ja, panie pułkowniku, położyłem się tylko trochę zdrzemnąć . . .

Mimo woli łapie mnie za gardło skurcz śmiechu.

Idziemy następnie oglądać zdobyte wozy i sprzęt niemiecki. Przeróżne rzeczy armia niemiecka wozi w swoich samochodach: jakieś obrazy, wycinane bagnetami z ram, walizy pełne damskiej, jedwabnej bielizny, srebra stołowe, puzderka z klejnotami, radioaparaty, pantofelki damskie, zegarki, obrączki, dewizki . . . Dokładnie, jak widać, przeszukiwali Niemcy domy Francuzów.

Dużo samochodów niemieckich nadaje się do użytku. Polacy zakrzątnęli się koło nich szybko. Jedni sprawdzili motory, inni wymalowali literki "PL" i białe gwiazdy — rozpoznawczy znak wojsk inwazyjnych. Uruchomiono również kilka czołgów, samochody pancerne — okazało się nawet, że słynne niemieckie działa 88-milimetrowe pozostawione zostały w pobliżu "Maczugi" bez żadnych uszkodzeń.

Z AMERYKANAMI POD CHAMBOIS

Innego rodzaju historie działy się pod Chambois, gdzie walczyli ułani i dragoni. Interesuje mnie przede wszystkim, jak nawiązano kontakt z Amerykanami.

Okazuje się, że nawiązanie takiego "kontaktu" nie należy do rzeczy najłatwiejszych podczas wojny. Oczywiście najpierw został wydany rozkaz. Rozkaz, który otrzymał dowódca patrolu, złożonego z trzech czołgów, brzmiał: "Jedź na południe i żebyś mi nie wracał, dopóki nie znajdziesz Amerykanów". To wszystko. Każdy, ktokolwiek choć trochę się zna na dobrych rozkazach zrozumie, że właśnie taki rozkaz musi być wykonany.

Miałem kiedyś możność słuchania przez radio podobnego momentu nawiązywania łączności.

—Naprzeciwko nas, w krzakach, widzę jakieś lufy — meldował dowódca szwadronu czołgów. — Czy to nasi czy nie? — Oczywiście do tych słów dołączone zostały różnego rodzaju współrzędne, których tu nie będę przytaczał.

—Pokażcie się im — brzmiała odpowiedź radiowa.

Po chwili radio mówiło znowu:

—Strzelają do nas!

—To machajcie chusteczkami, dajcie im jakiś znak!

Machanie chusteczkami pomogło. Lufy w krzakach były lufami czołgów kanadyjskich.

Z Amerykanami pod Chambois historia wyglądała bardzo podobnie. Gdy tylko zobaczyli trzy polskie "Cromwelle", podobne zdaleka do "Tygrysów" — zaczęli łupić, ile wlezie. Nasi oczywiście przyjacielsko wyciągnęli chusteczki.

Radość ze spotkania była obopólna.

—Uff — powiedzieli Amerykanie — myśleliśmy, że to "Tygrysy".

—Spudłowaliście, całe szczęście — odpowiedzieli nasi.

—To wyjątkowo — usprawiedliwili się Amerykanie i wyciągnęli koniak.

Od tej pory przyjaźń była na śmierć i życie. Polacy cieszyli się, że mają pod bokiem amerykańską piechotę, a Amerykanie niezmiernie byli zadowoleni z polskich czołgów.

Gorąca była polsko-amerykańska niedziela pod Chambois. Ale przyjaźń wytrzymała próbę życia. Gdy polskim czołgom zabrakło amunicji i benzyny, a żołnierze zjedli wszystkie zapasy żywności — Amerykanie przywieźli pod piekielnym ogniem uzupełnienia.

KŁOPOTY Z JEŃCAMI

W międzyczasie Polacy uzbierali już około 1300 jeńców. Z jeńcami tymi był prawdziwy kłopot, nie było bowiem możliwości odstawienia ich na tyły naszych linii. Utworzono więc czworobok z czołgów, w którym zamknięto jeńców.

Dowódca niemieckiego korpusu pancernego, który również znalazł się w roli polskiego jeńca, oświadczył jednemu z naszych oficerów, uśmiechając się ironicznie:

—Nie długo będę korzystał z waszej gościny. Wkrótce zacznie się nasze przeciwnatarcie.

—Pojedzie pan, generale, na spotkanie tego przeciwnatarcia w moim czołgu — brzmiała odpowiedź Polaka.

Tak też i było w rzeczywistości. Siedząc w polskim czołgu generał miał możność obserwowania przez peryskop kilku płonących "Tygrysów" i "Panter", które zostały trafione celnymi pociskami naszych dział. Postępująca za niemieckimi czołgami piechota wycofała się w popłochu, pozostawiając na polu wielu zabitych i rannych.

Aby pozbyć się balastu jeńców, wśród których było około dwustu rannych, Polacy postanowili przekazać ich Amerykanom. Generał niemiecki był wyraźnie niezadowolony.

—Przerzucacie mnie — oświadczył — jak piłkę z rąk do rąk.

—Niech pan nie zapomina — odpowiedziano mu — że jest wojna, której Polacy nie zaczęli.

Nie znajdując odpowiedzi generał wybąkał jedynie kilka słów podziękowania za dżentelmeńskie traktowanie.

—Przykro nam, że nie wszyscy jeńcy polscy mogą to powiedzieć o Niemcach — zakończyli rozmowę nasi.

Inny znowuż jeniec, niemiecki oficer sztabowy — podskoczył w pewnym momencie z radosnym uśmiechem na twarzy do rotmistrza G., znanego w Polsce kawalerzysty.

—Cóż za spotkanie! — zawołał. — Braliśmy przecież razem udział w zawodach hippicznych w Zakopanem! Czy pan mnie sobie przypomina? — w tym momencie Niemiec wyciągnął rękę na przywitanie.

Ręka trafiła w próżnię.

—Przypominam sobie doskonale — odpowiedział rotmistrz G. — To pan zapomniał w tej chwili, że jest pan moim wrogiem i jeńcem Polaków.

Podobnych prób nawiązywania ze strony Niemców kontaktów z Polakami było więcej. Układność i uprzejmość oficerów niemieckich w niewoli jest czasami tak duża, jak ich brutalność i buta w okupowanej Polsce.

"PSIE POLE"

Tak więc jeńcy niemieccy pod Chambois powędrowali do Amerykanów, którzy wręczyli nam pokwitowanie. Mając wolne ręce Polacy z większym spokojem mogli dozorować ze wzgórza przesmyk w dolinie, do którego beznadziejnie wzdychali zamknięci w "worku" Niemcy. Nad całym przesmykiem panowały nasze stanowiska ogniowe. Ponawiane przez Niemców przeciwnatarcia załamywały się raz po raz. Było to również w dużej mierze zasługą artylerii dywizyjnej, która napracowała się za wszystkie czasy.

—Zastosowaliśmy — powiedział mi jeden z oficerów artylerii — olbrzymie ześrodkowania ognia. W swoim czasie nasi teoretycy artylerii dyskutowali w Szkocji, czy na niewielki lasek, w którym kryje się nieprzyjaciel, trzeba położyć 36 pocisków, czy 48. My na taki lasek kładliśmy kilka tysięcy pocisków, ześrodkowując ogień pułku. Rezultaty tego ognia można obejrzeć na polu bitwy . . .

Oglądałem je. I nie dziwię się, że utarła się już w Dywizji nazwa: Psie Pole pod Chambois.

Nie silę się na to nawet w najmniejszym stopniu, aby opisać cały przebieg tej historycznej bitwy I. Dywizji. Bitwy stoczonej z kwiatem niemieckiej armii, z wyborowymi żołnierzami pierwszego i drugiego korpusu S.S. Bitwa ta doczeka się jeszcze wielu opracowań, na pewno bardziej interesujących od tych notatek dziennikarskich, robionych na gorąco.

Szkicując bieg wydarzeń, kreśląc sylwetki żołnierzy, chciałbym jedynie, ażeby choć drobny ułamek polskiego wysiłku znalazł jakieś echo. I aby to echo wróciło do nich. Nie dla sławy autora. Ale dla i c h wielkiej, i zasłużonej sławy.

Przykro bowiem, gdy idzie coś na marne. Przykro słyszeć pytania "Dlaczego nie ma nic o Dywizji w B.B.C.?" — i przykro odpowiadać, że nic na to, ja z Bożej łaski korespondent wojenny, nie mogę poradzić.

Choć wiem najlepiej, tak samo jak oni wiedzą, że polski wysiłek przyczynił się również do otwarcia bram Paryża. Bramy Rzymu także los kazał nam otwierać. Może wreszcie, w nagrodę za to — Bóg nam otworzy bramy Warszawy!

RYSZARD KIERSNOWSKI

Przyjacielowi — gdy odszedł

Zbyszek Iskrzyński nie żyje. Poległ na polu chwały. Krew jego, jak krew tylu Polaków wsiąkła w ziemię francuską, ziemię piękną, ziemię dla Polaków tragiczną, gorzką rozczarowaniem, brzemienną nadziejami.

Nie żyje również Jan Trznadel, pporucznik, nawigator. Wiadomość o jego śmierci przyszła zaledwie kilka dni temu. Pod klepsydrą nie podpisali się rodzice zmarłego, bo nie ma ich w W. Brytanii. Podpisał się przyjaciel, Zbigniew Iskrzyński. I oto dzisiaj imię tego przyjaciela ze smutkiem wielkim zobaczyłem, otoczone czarną obwódką, rozgraniczającą dwa światy. Ten, świat który tak pięknie, tak bohatersko opuścił, od tego, w którego progi wchodzi teraz młody, jasnowłosy polski Podchorąży. Wchodzi żegnając się z Matką, witając z przyjacielem.

Wiem, że na tym drugim świecie będzie Mu dobrze, że z chwałą wielką i podziwem niebieskich mieszkańców wchodzić będzie Zbyszek pod dach swojej ostatniej kwatery, ostatniej z rzędu tylu postojów i kwater, ogrzewanych zawsze gorącym sercem, przez pięć lat. Były to lata najpiękniejsze — a w mundur je przyodział, były to lata młodości najpierwszej — a śmierć przyniosły zamiast życia. Bo Zbyszek był Polakiem i umarł jak Polak. Wiem, że dobrze mu teraz i promiennie. Ale czyż ta świadomość potrafi zmniejszyć żal ogromny po jego odejściu?

Przez cztery lata żyliśmy pod jednym namiotem i jednym dachem. W długich rozmowach wieczornych stęsknioną wyobraźnią budowaliśmy tę naszą Polskę i to nasze szczęście — słodką nagrodę za gorycz i bezdomność młodości. Zbyszek był zaledwie o kilka lat młodszy ode mnie, a jednak należał do innego jakby pokolenia. Mnie obciążały jeszcze resztki romantyzmu, niebezpieczny balast, spuścizna po Trzech Wieszczach. On był już od niej wolny. Polskę widział we wzrastających wykresach statystycznych, w żel-betonowych gmachach, w jasnych i czystych koloniach robotniczych domków, w szumie przemysłu, w młodej pieśni owijających świat polskich szlaków handlowych.

Zbyszek, to była prawdziwa Młoda Polska. Jakże pięknie błyszczały mu oczy, jak zawadiacko i niemal dziecinnie złotą czupryna spadała mu na czoło. Jak przyjemnie pokpiwał sobie z moich opowiadań o Polsce-Chrystusie Narodów. Śmiał się, żem "nieuleczalny romantyk i że poeci, to gatunek ludzi bardzo dziwaczny". Przytakiwałem mu z całej duszy. Całą duszą oddawałem Mu w przyszłości pierwsze miejsce przy budowaniu domu, w którego ścianach równi obywatele niepowaśnione podadzą sobie dłonie.

Zbyszka Iskrzyńskiego przy tej budowie już nie zobaczymy. Zginął przy zakładaniu fundamentów. Zginął za młodo — nie zginął daremnie.

Żegnając Cię, leżącego na polach Francji, chłopcze kochany, Polaku nieodrodny, niezapomniany kolego i druhu — pragnę Cię zapewnić, tak, jak zapewniałem Cię wtedy, pod namiotami Szkocji, pod chmurnym deszczowym niebem oczekiwania, że twoje młode serce rozraduje się jeszcze widokiem wolnej Ojczyzny, oglądanej z wysoka, wymodlonej ostatnim uderzeniem serca, umiłowanej ostatnią kroplą krwi, wsiąkającą teraz w ziemię francuską, ziemię twojej śmierci i twojej nadziei.

JAN ROSTWOROWSKI

Ś. † P.

ZBIGNIEW ISKRZYŃSKI

Kapral Podchorąży I Dywizji Pancernej Wychowanek Gimn. im. Stefana Batorego Student Politechniki Warszawskiej

jedyny i ukochany syn Kazimiery Skalskiej-Szapiro

poległ dn. 20 sierpnia r.b. na polu walki pod Falaise i tamże został pochowany.

Pogrążeni w głębokim smutku

MATKA i OJCZYM.

WSPOMNIENIA Z KAMPANII WRZEŚNIOWEJ W POLSCE

Atak Brygady Maczka na Zboiska pod Lwowem*

PLAN DZIAŁAŃ

Widząc już wyraźnie poważne siły nieprzyjaciela usadowione na wzgórzach Zboisk /a w szczególności na kocie 324/, panujących nad północną częścią Lwowa, pułkownik Maczek postanowił zdobyć te wzgórza, używając do tego celu wszystkich swych sił.

Wieczorem dnia 15 września pułkownik podaje decyzję do zmontowania dośrodkowego natarcia na wzgórza Zboisk. 24 pułk ułanów, wychodząc z rejonu Grzybowic Wielkich, uderzy w kierunku południowym. 10 pułk strzelców konnych i kompania cyklistów zajmie w ciągu nocy podstawę wyjściową w Malechowie, po czym natrze na wzg. 324 ze wschodu na zachód. Dywizjon artylerii całością wesprze natarcie z rejonu Grzędy. Konny dywizjon rtm. M. wykona obejście przez lasy brzuchowickie, wychodząc na wzgórza Zboisk od zachodu, powtarzając manewr z dnia poprzedniego /znajdował się ciągle na tym kierunku/. Kompania T.K. będzie utrzymywała bezpośrednią łączność między natarciami naszych pułków, działając sondami wzdłuż szosy z Grzybowic na Zboiska.

Działanie było silne, skierowane dośrodkowo, rokowało wszelkie nadzieje powodzenia. Wieczorem do Kwatery Głównej zostali wezwani dowódcy natarć /z wyjątkiem rotmistrza M., który się znajdował w lesie przy swoich szwadronach/ i tam otrzymali szczegółowe rozkazy. Ruch oddziałów na podstawy wyjściowe rozpoczął się pod osłoną nocy i zakończony został przed świtem. Natarcie miało być zaskoczeniem dla nieprzyjaciela.

Po zakończeniu pracy rozkazodawczej, uregulowaniu spraw zaopatrzenia i łączności, sztab Brygady przeniósł się na nowe miejsce postoju — do Dublan, gdzie rozmieściliśmy się w gmachu słynnej szkoły rolniczej, częściowo już zajętej przez szpital wojskowy. Posterunek bojowy zainstalowany został pod Grzybowicami, dokąd od świtu udał się sztab ścisły: dowódca Brygady ze mną, kapitanem S., oficerem łącznikowym i dwoma gońcami.

NATARCIE

Natarcie rozpoczęło się o świcie, z tym, że nieco wcześniej wyruszył 10 pułk strzelców konnych opanowując w pierwszym impecie wieś Zboiska. Dalej jednak nie mógł się posuwać, gdy minęły skutki zaskoczenia i nieprzyjaciel rzucił na pułk potężne nawały ognia, zamykając nimi wyjścia ze wsi i dostęp do wzgórz. W tej fazie walki odniósł ciężką ranę dowódca 10 pułku strzelców konnych podpułkownik dypl. B. Dowództwo pułku objął jego zastępca major Sł., który dalej prowadził natarcie.

Po kilkunastu minutach wyruszył do natarcia 24 pułk ułanów, ściągając na siebie część ognia niemieckiego.

Z lasu brzuchowickiego dochodziły odgłosy walki dywizjonu rotmistrza M.

Kompania T.K. wykonała szereg wypadów — sond wzdłuż szosy, od Grzybowic na Zboiska. Zejście w teren nie było możliwe dla słabych maszyn. Współdziałanie czołgów było pożyteczne o tyle, że ściągało na siebie znaczną część uwagi i ognia nieprzyjaciela. Niemcy nie mieli tu żadnego ciężkiego sprzętu przeciwpancernego, oficie strzelali tylko małokalibrową amunicją przeciwpancerną. Dzięki temu kompania nie poniosła strat w sprzęcie, miała natomiast kilku rannych, głównie rozpryskami przenikającymi przez szczeliny. Sam dowódca kompanii — rumiany porucznik Z. — miał nogę przebitą na wylot rdzeniem pocisku przeciwpancernego. Niklowa koszulka pocisku utkwiła w pancerzu. Mimo bólu i kulawizny porucznik nie opuścił kompanii i bez buta, w bandażu na nodze, wojował dalej.

Walka trwała bez przerwy aż do zapadnięcia ciemności. Przeżywaliśmy kolejno momenty triumfu i depresji, ponieważ kilkakrotnie obydwa pułki zdobywały leżący przed nimi grzbiet, później były wyrzucane przeciwuderzeniami i znów odbierały go Niemcom.

Wzięto jeńców.

Jeńcy byli bardzo przemęczeni, zgłodniali i przerażeni. Zapowiadano im najstraszliwsze perspektywy w wypadku dostania się do niewoli, toteż zdradzali radosne rozczarowanie i pewną wdzięczność, gdy spotkali się z żołnierskim traktowaniem i menażką gorącej zupy, na którą wszyscy bez wyjątku rzucali się łapczywie. Dywizja była bawarska. Rekrutowała się w rejonach Guhrau-Garmisch Partenkirchen. Stwierdziliśmy wtedy, że żołnierze niemieccy nie wiedzą nic o wystąpieniu Wielkiej Brytanii i Francji przeciwko nim. Byli wyraźnie zaskoczeni i zdeprymowani tą nowiną.

NIESPODZIANE ODKRYCIE

Zeznania jeńców wyjaśniły nam dotychczasowe nieporozumienie. Mieliśmy przed sobą całą 1 dywizję górską w składzie 98, 99 i 100 pułków piechoty z pułkiem artylerii lekkiej, dywizjonem artylerii ciężkiej i batalionem czołgów.

Znaleźliśmy się w sytuacji taktycznej zupełnie paradoksalnej: słaba dwupułkowa Brygada, wsparta dwoma bateriami i kompanią czołgów rozpoznawczych nacierała na dywizję piechoty, która poprzestała na obronie! Gdyby dowódca 1 dywizji górskiej zebrał do uderzenia na jednym kierunku ze trzy-cztery bataliony piechoty, wsparte batalionem czołgów i całością artylerii, miał wszelkie szanse starcia nas z powierzchni ziemi.

To jest zresztą ocena jednostronna. Nie znam zadań 1 dywizji górskiej ani jej szczegółowego położenia, stopnia związania z obroną Lwowa i zagrożenia przez działanie grupy generała Sosnkowskiego, o którym dowódca dywizji mógł już wiedzieć /myśmy jeszcze nie znali wyników/. Jeżeli chodzi natomiast o twardość i uporczywość obrony, to sprawiedliwość żołnierska nakazuje zaliczyć oddziały 1 dywizji górskiej do jednostek najwyższej klasy.

Około południa siedzieliśmy we trzech — pułkownik, Ludwiczek i ja — w głębokim rowie przydrożnym, w którym mieścił się nasz posterunek bojowy z telefonem włącznie. Punkt był wybrany dobrze, widzieliśmy z niego przebieg walki na obydwóch bezleśnych kierunkach, zdawaliśmy sobie sprawę z natężenia ognia nieprzyjacielskiego oraz obserwowaliśmy liczne naloty bombowe na Lwów wraz z ogniem artylerii ciężkiej na to miasto.

“DYWERŚANCI” LĄDUJĄ!

W pewnym momencie dziwnie nisko i blisko zawarczały silniki gromadnego nalotu. Od strony Lwowa — na wysokości może 200 metrów szedł dywizjon ciężkich “Junkersów” — było ich dziewięć, w trzech trójkach. Skuliliśmy się i płasko przywarliśmy do ścian rowu: ci nam dadzą łupnia — samoloty szły prościutko na nas. Już były nad głowami, przeszły za nasze plecy, na Doroszów i nagle ze wszystkich maszyn jednocześnie posypały się czarne punkty, które po chwili zawisły na spadochronach i powoli, kołysząc się, zaczęły lądować tuż tuż poza stanowiskami naszej artylerii. Ze złośliwą radością obserwowaliśmy, jak jeden i drugi czarny przedmiot poleciał do ziemi jak kamień. Spadochron zawiódł. Dobrze ci tak s . . . synu!

Mieliśmy poza plecami jakąś setkę skoczków spadochronowych. Ostrzegliśmy przede wszystkim artylerię, która za chwilę pewno będzie zaatakowana przez dywersantów. Zatelefonowaliśmy do zastępcy dowódcy na “m.p.”, żeby natychmiast pchnął odwodowy pluton motocyklistów na punkt lądowania desantu. No, i sami spodziewaliśmy się lada chwila napadu. Schwyciliśmy z samochodów karabiny. Wetknęliśmy po kilka granatów za pasy. Wystawiliśmy czujkę, złożoną z kierowców.

I po chwili — już są, dranie!

Od łąki, dzielącej naszą drogę od Doroszowa, ukazało się dwóch młodych ludzi po cywilnemu. Ubrani jak chłopaki spod Lwowa, którzy wyszli na pole po kartofle albo szukać zgubionego konia. Wyskoczyliśmy na nich jak tygrysy, wpakowaliśmy lufy między żebra. “*Hände hoch*!” — udają, że nie rozumieją, dranie; “ręce do góry!” — udali, że zrozumieli, nie próbują ukryć przerażenia, aż zzielenieli ze strachu.

—Kto wy jesteście? Co tu robicie? Czy macie broń? Obszukać ich, Kobza.

Broni nie mieli. Są mieszkańcami Doroszowa, Polakami. Wyszli — mimo bitwy — nakopać kartofli i złapać konia, który uciekł. O, tu jest koszyk na kartofle, a tu postronek na konia.

Nie uda wam się ten podstęp — otworzyć koszule, pokazać pręgi od spadochronów! Żadnych śladów nie było. Lufy opadły. Pistolety wróciły do pochew. Jeszcze, dla sprawdzenia, przeegzaminowaliśmy ich ze znajomości okolicy: a jaka to wieś, ta co się tam pali? a jaka to wieża, której połowy brakuje? Jaki most był w tym miejscu na nasypie, tu gdzie teraz jest wyrwa?

Chłopaki odpowiadały jak z nut, bez zająknienia, najczystszym lwowskim “tajoj” akcentem i żargonem.

Ostateczne wątpliwości rozwiał motocyklista przybywający z Doroszowa. Z dumą wyciągnął z przyczepki cylindryczne blaszane pudło. To nie spadochroniarze, to oni nam takich puszek narzucali.

Puściliśmy domniemanych spadochroniarzy wolno, z przeproszeniem. Po otwarciu pudła zobaczyliśmy w nim amunicję, suchary i czekoladę. Największe zainteresowanie wzbudziła ta ostatnia.

—Nie jedz, bo to pewnie zatrute — powiedział pułkownik serio, bardzo niewyraźnym głosem, bo miał usta wypchane zatrutą czekoladą.

Kiwnąłem tylko głową, że dobrze, nie będę jadł. Mówić, nawet niewyraźnie, nie byłem w stanie. Miałem w ustach pół tabliczki bardzo smacznej, gorzkawej czekolady, spreparowanej z kolą.

Jakoś nie otruliśmy się.

NOC PO BOJU

Wieczór zastał Brygadę w położeniu mało różniącym się od położenia wyjściowego. Były zdobyte Zboiska. 24 pułk zszedł stokami na grzbiet Michałowszczyzny. Ale to było wszystko, za cenę bardzo poważnych strat — 8 oficerów, około setki ułanów, strzelców i kanonierów.

Walka zamarła. Wróciliśmy do Dublan. Pułkownik Maczek nie zrezygnował ze zdobycia wzgórz. Znów, w myśl pewnika, że same tylko rozkazy nie wystarczają, zaczął szukać środków wzmocnienia.

Znalazł pierwszy — ciemność. Nakazał obydwu pułkom wykonanie nocnych wypadów. Nie natarć — wojsko było zbyt skrwawione i zmordowane — ale w takim położeniu nawet wypad szwadronu może dać niespodziane wyniki. Niemcy też nie z żelaza.

Drugi — współdziałanie załogi Lwowa, a co najmniej artylerii lwowskiej. Połączyłem się telefonicznie. Szef sztabu, dowiedziawszy się o temacie rozmowy, poprosił o przyjazd do sztabu dowódcy Brygady lub szefa sztabu.

—To już zgaduję, kto pojedzie — powiedział cynicznie pułkownik, zdejmując kurtkę.

Ja też zgadłem. Dobry kolega-kwatermistrz ofiarował się na ochotnika przeprowadzić mnie krótszą drogą, przez mostek na Pełtwi, który wprawdzie jest rozebrany, ale placówka składa pomost na żądanie. Trzeba tylko zachowywać się cicho i nie świecić, bo niedaleko stoi armata niemiecka, ustawiona do ognia na wprost, i strzela bardzo nieprzyjemnie.

Wypożyczyliśmy Chevroleta od pułkownika M. /żeby było cieplej/ i pojechaliśmy. Od razu się zdrzemnąłem, ufając memu przewodnikowi. Obudził mnie błysk i huk. To wspomniana armata dosłyszała coś i gruchnęła. Granat przeniosło daleko górą. Więcej nie strzelali. Placówka istotnie złożyła grzecznie pomost i znaleźliśmy się w Dowództwie Obrony Lwowa. Przedstawiłem generałowi Langnerowi położenie i nasze prośby. Otrzymałem odpowiedź mało pocieszającą. Generał robił małe nadzieje pomocy.

W drodze powrotnej powtórzyło się składanie i rozbieranie mostu, nie było już strzału armatniego, były natomiast odgłosy wypadu nocnego. Ostra strzelanina wszelkiej broni. Rakiety fantastycznie oświetlały świat. Gwizd pocisków górą, nad głowami. Parabole, rysowane amunicją świetlną na tle czerwonego paska świtu.

Gdy wróciłem do Dublan, pułkownik już był na nogach i wybierał się na posterunek bojowy, chcąc bezpośrednio kierować natarciem, które się miało rozpocząć od świtu, jak tylko oświetlenie umożliwi wsparcie artylerii. Nie dać odpocząć Niemcom. Przecież już karmią ich żywnością i amunicją za pomocą samolotów. Musimy zdobyć te wzgórza.

NOWE NATARCIE

Wypady nocne nie pozostały bez wyników, jakkolwiek ostateczny zysk na terenie był nieznaczny. Choć w nocy szwadrony wypadowe przeniknęły głęboko w ugrupowanie nieprzyjaciela, zostały jednak odrzucone i ostatecznie zaczepiły się mocno o grzbiety na najbliższych horyzontach przed podstawami wyjściowymi. Byli jednak jeńcy, których zeznania potwierdziły, że 1 dywizja górska jest głodna, odczuwa brak amunicji, oraz że poniosła poważne straty. Nasi żołnierze stwierdzili, że na wzgórzach leży duża ilość nieuprzątniętych trupów niemieckich.

To wszystko dawało impuls do dalszego upartego natarcia. A jeszcze bardziej wiadomość przetelefonowana w godzinach rannych ze Lwowa: generał Sosnkowski ze swoją grupą wykonał nocne natarcie nad Wereszycą na niemiecką dywizję pancerną, zniszczył dużą ilość sprzętu, wziął artylerię i jeńców. Radosna nowina poleciała zaraz do oddziałów. Pokażmy, żeśmy nie gorsi.

Prawie cały dzień spędziliśmy na posterunku bojowym, który przenieśliśmy na wysokość Michałowszczyzny, bliżej pola walki. Stąd było widać wszystko bardzo dokładnie.

1 dywizja górska biła się wspaniale. Nasze natarcie szło bardzo powoli, bardzo krwawo. Szczególnie zjadliwy był pewien karabin maszynowy na północnym stoku wzgórza 324. Przez długi czas obserwator artylerii nie mógł go dostrzec. Wreszcie znalazł. Bateria się wstrzelała i po kilku granatach rozpoczęła ogień salwami. Widocznie bardzo dopiekła Niemcom, bo oto nagle ogień karabinu maszynowego urwał się i zobaczyliśmy — uciekają. Jeden piechur. Drugi z karabinem na plecach. Trzeci z podstawą. Jak na dłoni, widać było bez lornetki. Naokoło Niemców podnosiły się dymki kurzu. To nasi prali do nich jak do kaczek. Powstrzymane przedtem płaskim, bocznym ogniem, szwadrony ruszyły naprzód, lecz po chwili zaległy na stokach — ten sam karabin zaszczekał długą serią ze stanowiska zapasowego. Tak jakby mówili do naszych baterii: a no, prosimy szukać i wstrzeliwać się na nowo.

Uparty artylerzysta poszukał, znalazł, wstrzelał się — i po pewnym czasie znów pojedyńczy żołnierze wykurzeni granatami pobiegli skokami na dawne stanowisko, a karabin żył ciągle i nadal zagradzał drogę.

Kilkakrotnie powtarzała się ta zabawa w chowanego, aż wreszcie któraś salwa trafiła widocznie w samo stanowisko, z którego poleciały w górę jakieś ciemne szczątki. Karabin umilkł i nie odzywał się więcej. Żaden człowiek nie ukazał się na grzbiecie wzgórza.

Mimo zastrzeżeń sztabu Obrony Lwowa spodziewaliśmy się ciągle współdziałania i czekaliśmy na nie. Toteż gdy w pewnej chwili na północnych skrajach miasta usłyszeliśmy serię grzmotów, aż powstaliśmy w naszym rowie. Przecież to nic innego, jak nawała co najmniej kilku dywizjonów artylerii strzelających salwami bateryjnymi prawie jednocześnie. Straszliweześrodkowanie ognia w jednym rejonie. Aż dech zaparło z wrażenia.

Wytężaliśmy oczy i słuch. Wtedy usłyszeliśmy dalekie ale potężne warczenie w powietrzu i dojrzeliśmy wyłaniające się z białych chmur nad Lwowem wielkie zgrupowanie białych bombowców niemieckich, wracających z nalotu bombowego na wysokości kilku tysięcy metrów. Takie to były nawały ognia artylerii!

Jednocześnie do rozrzedzonych przez wiatr i czas dymów dawnych pożarów przyłączyły się czerwone języki i czarne zwarte dymy nowych pożarów we Lwowie, w Zamarstynowie, na Zniesieniu. Nieprzyjaciel odcinał celowo wszelką możliwość działania załogi Lwowa przeciwko 1 dywizji górskiej.

Ogarnął nas wstyd, że ucieszyliśmy się przed chwilą z tych grzmotów.

ZDOBYCIE WZGÓRZA

Brygada nacierała bez przerwy z zajadłością, bez względu na straty. Nieprzerwanym prawie sznurkiem prowadzono i wieziono w tył, do Dublan, rannych i zabitych. Ten dzień kosztował znów setkę żołnierzy.

Ale powoli wyłuskiwano pojedyńcze karabiny maszynowe, pojedyńcze gniazda oporu piechoty, punkty obserwacyjne artylerii i miażdżono je ogniem naszych dwóch baterii, moździerzami, armatami przeciwpancernymi, wybijano bagnetem.

Po południu opór nieprzyjaciela osłabł wyraźnie. Poszczególne plutony ułanów i strzelców konnych wgryzły się już między komórki oporu nieprzyjaciela.

Później, gdzieś w środku ugrupowania rozległo się słabe “hurra”, które natychmiast zabrzmiało podchwycone na północnych i wschodnich stokach wzgórza 324. Wszystkie szwadrony ułanów i strzelców konnych poszły na bagnety. Jeszcze przez chwilę ogień aż się krztusił z natężenia, jeszcze przez chwilę waliły granaty niemieckie po tyłach biegnących szwadronów, później już tylko głucho trzasnęły granaty ręczne i — zapanowała prawie cisza, przerywana z rzadka pojedyńczymi strzałami karabinowymi, krótkimi seriami broni maszynowej.

Na grzbiecie zaczerniały grupki żołnierzy, znikając zaraz za stokiem. Artylerie umilkły—nieprzyjaciel utracił punkty obserwacyjne, 16 d.a.m. nie chciał razić własnych oddziałów.

Po trzech dniach natarcia, za cenę krwawych strat, wzgórze 324 było zdobyte. Na stanowiskach nieprzyjacielskich naliczono około 40 trupów. Wzięto 3 ciężkie karabiny maszynowe, porzucone na grzbiecie.

Właśnie w tym momencie zameldował się u pułkownika Maczka dowódca batalionu piechoty oddanego nam przez dowódcę Obrony Lwowa. Batalion ten nie mógł przybyć wcześniej, schwytany po drodze przez nalot bombowy.

Była godzina 16.00. Pułkownik zdecydował się użyć nowego batalionu do zluzowania przemęczonych i skrwawionych oddziałów Brygady, które po zapadnięciu zmroku miały odejść na odpoczynek. Zadaniem batalionu było obronne utrzymanie zdobytego grzbietu.

F. S. KURCZ

* Fragment większej pracy p.t.: “Między Rabą a Prutem”, która niedługo ukaże się w druku nakł. Wydziału Prac Kulturalno-Oświatowych M.O.N.

ZDZISŁAW RUSZKOWSKI: Obrona Warszawy



Obrona Brześcia nad Bugiem

Czytając ostatnio bardzo piękną i interesującą opowieść żołnierską “Ostatni żołnierz polski Kampanii 1939 r.” Adama Eplera, znalazłem na str. 44-ej następujące zdanie: “Brześć padł bez zbytniego nakładu energii w swą obronę”. Ponieważ w obronie Brześcia n/Bugiem brałem czynny udział, a z rozkazu gen. Pilsowskiego, jako dowódcy całości, wykonywałem obowiązki dowódcy zgrupowania piechoty, mam dostatecznie wiele materiału i elementów do bezstronnej i rzeczowej oceny przebiegu całej akcji obrony, trwającej do wieczora 17-go września. Dla własnej pracy, którą obecnie wykonuję, byłbym bardzo rad, gdyby autor książki był łaskaw wyjaśnić mi, na jakich podstawach oparł swoje twierdzenia.

Wiem, że opinia uczestników obrony Brześcia, z którymi rozstałem się w Polsce, następnie przypadkowo spotkałem się na Węgrzech, a ostatnio w W. Brytanii, jest wręcz odmienna. Czytałem też o obronie Brześcia w wielu wydawnictwach niemieckich. Niemcy otwarcie przyznają się do kłopotów i trudności w złamaniu oporu Brześcia. O postępach Niemców w tym rejonie wydawane były specjalne komunikaty wojenne.

Do wieczora 17-go września własne oddziały nie zostały pobite, a odparły siedm silnych natarć niemieckich, piechoty i czołgów, na różnych kierunkach. Przez trzy dni bez przerwy, dzień i noc, trwał ogień kilku dywizjonów artylerii niemieckiej. Z cytadeli Brześcia pozostały same zgliszcza. W ciągu kilkudniowych walk oddziały własne poniosły około 40% strat w rannych i zabitych. Dowódca obrony, gen. Plisowski, został ranny, a jego szef sztabu, ppłk. dypl. Horak, kontuzjowany. Szpital cytadeli, znajdujący się stale pod ogniem niemieckiej artylerii, był przepełniony, rozmieszczał z konieczności po dwu rannych na jednym łóżku. Wypełnione po brzegi były też i niektóre nadające się do użycia schrony.

Decyzję przebicia się obrońców z otoczonej cytadeli Brześcia podjął, ranny już wówczas, gen. Plisowski na wspólnej odprawie w godzinach popołudniowych, 17-go września. Było nam już wtedy wiadome, przez radio, o wkroczeniu do Polski wojsk sowieckich. Poza tym od dwu dni obrońcy Brześcia nie mieli żadnej łączności tak z oddziałami Grupy Poleskiej na północy, jak i z innymi na południu. Budynek, w którym mieścił się sztab obrony, już w pierwszych dniach oblężenia został celnie trafiony pociskami artylerii, a w związku z tym uszkodzono lub zniszczono zainstalowany sprzęt łącznościowy.

Przebicie się obrońców Brześcia przez pierścień okalających wojsk niemieckich nastąpiło 17-go września po zmierzchu, w rejonie Terespola. Stąd zreorganizowane i uporządkowane oddziały ruszyły marszem forsownym w dwu kolumnach przed ewentualnym pościgiem zmotoryzowanych i pancernych jednostek nieprzyjacielskich. Gen. Plisowski natomiast, przekazując mi dowództwo i wyprzedzając kolumny, udał się samochodem wraz z swym adiutantem na poszukiwanie i nawiązanie łączności z sąsiadami na południu. Dokładnych wiadomości, gdzie szukać sąsiadów, nie mogliśmy zdobyć.

Wykonując w tych warunkach nakreślone zadania, moją myślą przewodnią było: unikać walki z nieprzyjacielską bronią pancerną, gdyż na to nie mieliśmy sił, ani też środków, ale bić przeciwników tanim kosztem wszędzie tam, gdzie się da, podnosząc równocześnie w ten sposób ducha żołnierzy, odciętych i pozostawionych wyłącznie własnej inicjatywie, szukać łączności z wojskami gen. Przedrzymirskiego lub jakimiś innymi, by w ten sposób wzmóc się na sile, dla dalszych działań.

Jak się później okazało, od oddziałów gen. Przedrzymirskiego dzieliła nas przestrzeń około 120 km. Przestrzeni tej piechota i inne oddziały, źle zaopatrzone i wyczerpane walkami o Brześć, nie były w stanie nadrobić, a to tym bardziej, że oddziały gen. Przedrzymirskiego były w walkach opóźniających, spływając na południe do rejonu Tomaszów Lubelski — Krasnobród.

Ciężkie nocne marsze po bocznych drogach, utarczki z wojskami wroga i partyzantami, nie wykruszyły jednak oddziałów obrony Brześcia, a wręcz odwrotnie, dzięki inicjatywie i zapobiegliwości dowódców, z dnia na dzień pomnażały się, przybierając na sile i wartości. Na trasie marszu i w terenie już zajętym przez oddziały niemieckie, dołączył do zgrupowania z obrony Brześcia — 77 p.p. bez jednego baonu, z dywizjonem art. /bez dział/, pod dowództwem ppłk. Gąsiorka — III baon 6 p.p. Leg. wraz z dowódcą P.D. 1-szej Dyw. Piech. — 22-gi pułk ułan. pod dowództwem płk. Płonki, jeden szwadron z 1-szego pułku szwoleżerów, jeden szwadron ochotniczy pod dowództwem rotm. Królikowskiego, zasłużonego zagończyka z kampanii 1920 r., kilka baonów piechoty z bat. art. pol. pod dowództwem płk. Leona Koca, jeden baon kolejowy, jedna bateria dział polowych z 9-go pułku art. polowej, jedna bateria z 1-szego dywizjonu artylerii konnej, 2 plutony żandarmerii polowej i wiele jeszcze innych oddziałów, których nie sposób wyliczyć, a powstałych z różnych dywizyjnych ośrodków zapasowych, błąkających się bez map po bezdrożach i lasach.

W ten sposób z 5-ciu baonów piechoty, jednego baonu saperów, jednej baterii art. polowej, jednego działonu art. przeciwlotniczej i różnych służb, które wyszły cało z obrony Brześcia, narosło na trasie marszu w ciągu kilku dni do 15-stu batalionów piechoty, jednego baonu kolejowego, półtora pułku kawalerii, 2-ch dywizjonów artylerii, 2-ch baonów saperów i wielu innych oddziałów. Tak więc w dniu 24 września zgrupowanie liczyło około 6.000 oficerów i szeregowych.

Mimo ciężkiego położenia, z którego wszyscy zdawali sobie sprawę, entuzjazm i chęć walki panowały we wszystkich oddziałach. Dotkliwie jednak odczuwało się brak dostatecznego wyposażenia w środki walki. Przeciętnie oddziały posiadały od 2-ch do 3-ch jednostek ognia na kb., 1000 naboi na km. i około 40-stu pocisków na działo. W kolumnach amunicyjnych żadnych rezerw już nie było. Duże to zgrupowanie posiadało tylko dwa działa ppanc. pod dowództwem młodego, a bardzo dzielnego podporucznika; karabinów ppanc. w ogóle nie było. Odczuwało się też brak sprzętu dla łączności, środków opatrunkowych, kuchen polowych i rezerw żywności.

Myślą przewodnią całej grupy było podążać ku południowi dla związania się z armiami tam walczącymi. Nieraz pogodne noce przynosiły nam odgłosy daleko toczących się walk. Liczyliśmy się jednak z tym, że gdyby nie udało nam się dotrzeć do walczących wojsk, wypadnie nam dalej przebijać się przez teren opanowany przez wroga, by zdążyć poza granice państwa zwarcie i z bronią.

W dniach 28-go i 29-go września oddziały grupy stoczyły pomyślną walkę, do ostatniego niemal naboju, bijąc się o Janów Lubelski prawym /zachodnim/ zgrupowaniem z oddziałami niemieckimi, odchodzącymi na linię demarkacyjną. Lewe /wschodnie/ zgrupowanie walczyło w tym czasie z sowiecką zmotoryzowaną brygadą o Goraj i Frampol. W walkach tych wzięto ponad 300-stu jeńców oraz znaczną ilość różnego sprzętu. Nie obeszło się jednak bez strat, a ranni zostali rozmieszczeni w szpitalu powiatowym i szkole w Janowie Lubelskim.

W dniu 30 września całe zgrupowanie osiągnęło rejony lasów na południe od Janowa Lubelskiego i Frampola, a straże przednie rozpoznawały przeprawy na bronionej przez Niemców rzece San w rejonie Ulanowa i Niska. W tym czasie było nam już wszystkim wiadomo o kapitulacji dzielnych obrońców Warszawy i niepomyślnych wynikach walk resztek armii gen. Przedrzymirskiego w rejonie Krasnegobrodu i Tomaszowa Lubelskiego. Położenie nasze stawało się co raz gorsze, a to przede wszystkim z powodu braku amunicji, niemożności sforsowania rzeki San wraz z sprzętem, jak i z powodu nieznajomości położenia i nasilenia wojsk nieprzyjacielskich na południe od Sanu.

Tak więc przyparci zostaliśmy od południa do rzek San i Tanew, od zachodu zagrożeni okrążeniem wojsk niemieckich, znajdujących się na postojach w Kraśniku i okolicy, a od północy i wschodu — spychani przez wojska sowieckie. Chcąc zapobiec kompletnemu pobiciu, gdyż dalsza walka nawet całej grupy byłaby zbyt krwawa i z góry przesądzała niepomyślny jej wynik, zdecydowaliśmy na wspólnej odprawie dowódców zakończyć działania większych związków. W lasach nadleśnictwa Janowa Lubelskiego nastąpił kres wędrówki żołnierzy z obrony Brześcia oraz tych wszystkich, którzy do nich dołączyli.

Wydane na plebanii w Domostawach rozkazy pożegnalne i szczegółowe instrukcje dla dalszego postępowania, przekazywały inicjatywę w ręce dowódców dowolnie organizowanych małych i samodzielnych zespołów. Przewidywano, że takim zespołom łatwiej będzie podjąć dalszą walkę dywersyjną w kraju, lub zdążać poza granice państwa do formującego się tam Wojska Polskiego.

Podając tę krótką notatkę o żołnierzach z obrony Brześcia, do tej pory przez nikogo nieopublikowaną /w książce gen. Norwid-Neugebauera na temat kampanii wrześniowej są wprawdzie drobne, ale niedokładne dane/, wiem, że autor “Ostatniego żołnierza polskiego Kampanii 1939 r.”, pisząc o obronie Brześcia, nie mógł mieć złych intencyj. Zresztą we wstępie swej książki zastrzega się przed jakimkolwiek oskarżaniem i krytyką, gdyż w książce wyraził tylko własne odczucia i reakcje, jakie wówczas przeżywał. Ja natomiast, jako uczestnik tych walk, odzwierciedlam przeżycia własne i tych, którzy od obrony Brześcia na szlaku: Zaborów — Grabówka — Parczew — Krzywowierzba — Włodawa — Wisznowice — Rejowiec — Chełm — rz. Wieprz — Wola Sobieska — Wysokie — Janów Lubelski — rz. San w ciężkich warunkach i ciągłych utarczkach dali dowody służby dla Polski. Oddaję cześć pamięci tych wszystkich, którzy na szlaku tej wędrówki i następnie w oddziałach Armii Krajowej dali swe życie w obronie Ojczyzny.

Po pięciu latach od kampanii wrześniowej sprawdza się, że ostatnie rozkazy i instrukcje wydane w lasach janowskich, nie poszły na marne. Są między nami ci, którym udało się dołączyć do szeregów Armii Polskiej na obczyźnie. Olbrzymia grupa żołnierzy pozostała i walczy nadal w Kraju. 77 pułk, który odznaczył się w natarciu na Janów Lubelski, za akcje bojowe w Kraju rozkazem Dowódcy Armii Krajowej wielokrotnie był już wyróżniony. Tym wszystkim, którym nie powiodło się i zmuszeni zostali do kapitulacji, a dźwigają do tej pory brzemię niewoli, zesłania lub innych cierpień, niech Opatrzność Boska zachowa siły i wiarę dla wytrwania w pokonaniu wielu przeciwności, by stanąć do pracy w wyzwolonej, a wolnej od wszelkich obcych wpływów Ojczyźnie.

Przyszła historia wojny polskiej, mimo klęski wrześniowej 1939 r. tak pełna chwały, rozpracowana szczegółowo po powrocie naszych kolegów z obozów jenieckich, miejsc zesłań i przymusowej wędrówki po całym świecie, nie na jedno pytanie nam jeszcze odpowie. W historii tej na pewno nie znajdziemy tyle gorzkich, nieuzasadnionych słów, jakimi uszy nasze były przepełnione po pierwszej bitwie o Polskę.

ANDRZEJ SOSABOWSKI

6 pułk pod Suchowolą

6. pułk strzelców pieszych, a raczej jego szczątki /około 600 ludzi/ prowadzi 23 września bój jako straż boczna dywizji pod Wolą Łabuńską. Piechota niemiecka zalegała przed stanowiskami i okopała się a czołgi, które ją wspierały, stwierdziwszy obecność działek wycofały się do Łabuń, artyleria tylko prowadzi swój ogień. W toku walki obserwujemy z dowódcą pułku przesuwające się czołgi i wozy transportowe drogą nad płd. wschód od m. Łubanie, a więc na kierunek naszego ewentualnego marszu.

Znamy też całość beznadziejnego położenia. Bolszewicy posuwają się w głąb granic. Niemcy zamykają żelazny pierścień wokół całej grupy gen. Przedrzymirskiego. Pozostaje już tylko śmierć na polu walki.

O wczesnym zmroku przybywa oficer ze sztabu 30 dywizji, major lotnictwa i przywozi rozkaz na piśmie. Pułk, jako kolumna boczna dywizji, przechodzi do m. Suchowola, gdzie otrzyma dalsze rozkazy. Oderwanie się od nieprzyjaciela o godz. 21.

Dowódca pułku zarządza wypad III batalionu, popierając go ogniem baterii haubic—wypad odrzuca Niemców, zaskoczonych nagłym zwrotem, aż do wsi Łabunie. W tym czasie reszta pułku zostaje ściągnięta ze stanowiska i sformowana w kolumnę marszową na noc.

Robi się zupełnie ciemno i pada drobny deszcz. Artyleria niemiecka posyła nam parę pocisków na pożegnanie i ruszamy. Posuwamy się z dowódcą pułku tuż za czołową kompanią. Zdajemy sobie dokładnie sprawę, że droga do Suchowoli będzie zamknięta przez poważniejsze siły nieprzyjaciela. Niedarmo widzieliśmy ruch w ciągu paru godzin. Trwa marsz ciężki, długi. Nogi rozjeżdżają się po śliskiej, urodzajnej ziemi zamojskiej.

Wtem suchy trzask, następuje seria ognia c.k.m., krótkie hurra, parę wybuchów granatów i placówka niemiecka w naszym ręku. Są jeńcy, zdobyte konie, rowery, c.k.m. To dowódca I batalionu wyjaśnił regulaminowo położenie. Badam na prędce jeńca, który zeznaje drżącym głosem, że o 1.500 m. znajduje się okopany cały pułk.

W tym rakieta i ogień c.k.m. Jednego, dwu, więcej—wybuchy granatów ręcznych, okrzyki hurra powtórzone parokrotnie, znowu wybuchy granatów. To I i III bataliony ruszyły na przód. Biegniemy z dowódcą pułku do czoła.

Dowódca I batalionu krzyczy: “Niemcy w kościele, w prawo, w lewo, cała linia!” Istotnie wylot wsi zamknięty, z wieży kościelnej raz po raz wylatuje rakieta i jakże długo świeci. C.k.m. ostrzeliwują nas, jak na dłoni. Bataliony zalegają w opłotkach.

Nadbiega II batalion, stajemy z dowódcą pułku na jego czele i podrywamy całość do ponownego szturmu. Opowiada nam wściekły ogień c.k.m. i moździerzy — zalegamy po raz drugi. Odwrotu dla nas nie ma—czujemy, że jesteśmy okrążeni. Musimy przebić się za wszelką cenę. Montujemy natarcie, każemy podciągnąć działka przeciwpancerne. Bohaterska obsługa jednego z działek podciąga go na 50 m. pod kościół i rozpoczyna ogień.

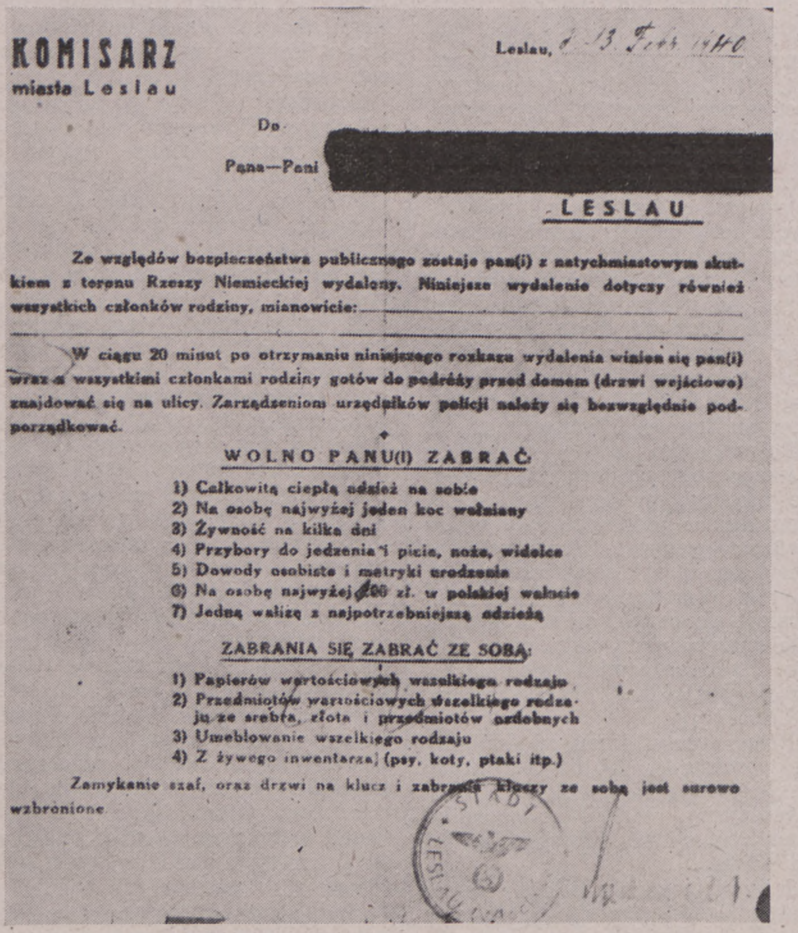
Z kolei Niemcy ruszają do przeciwuderzenia — obsługa działka zostaje wybita granatami. Rozpoczyna się bój w poszczególnych opłotkach i zabudowaniach, walka odbywa się na bagnety i pięści. Zwały trupów zalegają pole. Poszczególne domostwa przechodzą z rąk do rąk.

Ale oto nasze działa otwierają ogień, podrywa to jeszcze raz pułk i osiągamy wylot wsi. Świta.

KRZYSZTOF WIŚLICKI

Polska — żywymi oczami *

Wysiedlenia



KOMISARZ
miasta Leslau

Leslau, 13. Feb. 1940

Do

Pana—Pani [redacted]

LESLAU

Ze względów bezpieczeństwa publicznego zostaje pan(i) z natychmiastowym skutkiem z terenu Rzeszy Niemieckiej wydalony. Niniejsze wydalenie dotyczy również wszystkich członków rodziny, mianowicie: ______

W ciągu 20 minut po otrzymaniu niniejszego rozkazu wydalenia winien się pan(i) wraz z wszystkimi członkami rodziny gotów do podróży przed domem (drzwi wejściowe) znajdować się na ulicy. Zarządzeniom urzędników policji należy się bezwzględnie podporządkować.

WOLNO PANU(I) ZABRAĆ

1) Całkowitą ciepłą odzież na sobie
2) Na osobę najwyżej jeden koc wełniany
3) Żywność na kilka dni
4) Przybory do jedzenia i picia, noże, widelce
5) Dowody osobiste i metryki urodzenia
6) Na osobę najwyżej 200 zł. w polskiej walucie
7) Jedną walizę z najpotrzebniejszą odzieżą

ZABRANIA SIĘ ZABRAĆ ZE SOBĄ:

1) Papierów wartościowych wszelkiego rodzaju
2) Przedmiotów wartościowych wszelkiego rodzaju ze srebra, złota i przedmiotów ozdobnych
3) Umeblowanie wszelkiego rodzaju
4) Z żywego inwentarza (psy, koty, ptaki itp.)

Zamykanie szaf, oraz drzwi na klucz i zabranie kluczy ze sobą jest surowo wzbronione

Podobizna oryginalnego nakazu wysiedleńczego

We wsi w powiecie śremskim stał stary, w drzewie rzeźbiony posąg Matki Boskiej. Wieki przeszły nad krzywą, drewnianą kaplicą przydrożną, ominęły pochyloną głowę Marii pożary i wybuchy bomb.

Nowy niemiecki burmistrz walczył z Polską nawet na cmentarzu. Znikły polskie napisy z nagrobków, bo przecież, nie ma tu i nie było Polaków. Nie ma też i Królowej Korony Polskiej. Władze niemieckie skonfiskowały ten werset litanii, pan burmistrz kazał więc usunąć posąg przydrożny. Wśród gruzów i śmieci odnalazły go troskliwe ręce, stanęła pod osłoną nocy "Matka Boska Wysiedlona" — patronka tułaczy, wygnańców i wysiedlonych.

Toczyły się zmotoryzowane armie niemieckie ku Poznaniowi, za nimi szły fale pogłosek o wysiedleniach. Sąsiedzi niemieccy ostrzyli sobie zawczasu zęby na co lepsze gospodarstwa, czuli się już niemal panami w upatrzonych domach, ogrodach, polach. Bez zażenowania oznajmiali właścicielom-Polakom: — "Pójdziecie z torbami na wschód, nic tu nie będzie wasze". Ludzie jednak nie bardzo w to wierzyli. Nikt o tym nie słyszał jeszcze, żeby miliony ludzi ruszano z miejsca, wywłaszczano ze wszystkiego, wypędzano w obcy świat. Ponieważ pogłoski były co raz bardziej uporczywe, a Niemcy co raz zuchwalsi próbowano przedstawić sobie zbliżającą się tragedię w jakiejś bardziej prawdopodobnej formie. "Może usuną tylko tych, którzy osiedlili się na ziemiach wschodnich po 1918 r." — przypuszczano.

Po paru dniach niemieckiego panowania już trudno było poznać miasta i wsie wielkopolskie. W dwa tygodnie po wojsku wkroczyło Gestapo, błyskawicznie zniknęły polskie napisy. Tablice uliczne, drogowskazy dla wojska krzyczały znienawidzoną niemczyzną. Za każde wykroczenie brano zakładników, rozstrzeliwano z najbłahszych powodów. Ludność widząc, że zanosi się na jawny rabunek niszczyła swe mienie, by nie wpadło w ręce najeźdźcy. Polewano naftą zboże, pożary szły od wsi do wsi, wrzucano zbiory do rzek, płynęła wielkopolska pszenica Sołą, Koszarawką, szły z dymem stogi.

Niemcy przystąpili metodycznie do złamania oporu, do niszczenia najwartościowszych elementów. Aresztowano wszystkich, którzy przed wojną odznaczyli się w działalności politycznej, społecznej, czy też na polu gospodarczym. Rewizje gestapowskie przechodziły dom za domem pod najróżniejszymi pozorami. Szukano aut, motocykli, broni, zapasów żywności. Czasem na oślep, czasem na donos usłużnych niemieckich sąsiadów. Sterroryzowani gospodarze chodzili z rękami do góry, oprowadzając po wszystkich kątach Niemców gotowych w każdej chwili do strzału.

Jeżeli niemiecki amator na cudze dobro miał wystarczające poparcie otrzymywał upatrzone gospodarstwo jeszcze przed zarządzeniami o ogólnym wysiedleniu ludności. W nocy wpadali gestapowcy, nowy właściciel, często sterroryzowany wójt, lub już nowy niemiecki urzędnik gminny. "Oddać klucze" — rozkazywano gospodarzowi — "od tej chwili nic do pana nie należy, może pan zostać na miejscu do rozporządzenia nowego właściciela". Ludzie potraktowani w ten sposób starali się w miarę możności usunąć jak najprędzej, ponieważ ta urzędowa "współpraca" z przybyszem kończyła się szybko donosem i uwięzieniem Polaka.

Zbiorowe rozstrzeliwania dn. 20 października 1939 r. utrwaliły przekonanie, że Niemcy nie cofną się przed żadną zbrodnią, aby doprowadzić do zupełnego zniszczenia żywiołu polskiego na ziemiach włączonych do Rzeszy. Tysiąc Polaków padło w jednym dniu w publicznych egzekucjach na rynkach miast i wsi wielkopolskich. Grzebano dogorywających, chłopskimi furami wieziono stosy trupów i rannych do zbiorowych mogił. Mieszkańców spędzono na miejsce zbrodni, zmuszając ich do patrzenia na śmierć swych synów i braci. Ludzie ginęli odważnie, wznosząc patriotyczne okrzyki.

Ginęli Polacy pod niemieckim panowaniem przedtem i potem. Dzień 20 października 1939 r. był jednak pierwszym jawnym, cynicznym pokazem niemieckich metod.

Od grudnia 1939 r. datuje się masowe wysiedlanie z Ziem Zachodnich. Ludzie, którzy przeszli to usystematyzowane piekło z zazdrością myśleli o pierwszych ofiarach wygnanych indywidualnie z domów i wyjeżdżających na własną rękę. Przez pierwsze miesiące pobytu Niemcy stworzyli całą maszynę biurokratyczną przeznaczoną do zadręczania ludzi. Ukazały się druki, zawierające rozkaz przygotowania się w 20 minut do wyjazdu. Szafy i mieszkania mają być otwarte, zabroniono zabrać cokolwiek z rzeczy mających największą dla tułaczy wartość. Normy bagażu wahały się od 15-25 kg. odzieży. 25-100 zł. musiało starczyć, jako zapas gotówki na nowe życie.

W nocy około 2 — 3 godz. zajeżdżały auta z gestapowcami. W ciągu 10 — 15 minut trzeba było stać w bramie, czekając na dalsze rozkazy. W niektórych ośrodkach, jak w Gdyni, samochody zaopatrzone w głośniki jeździły po mieście, ogłaszając fantastyczną polszczyzną: "Wszystkie Polaki z ulicy 10 lutego mają się zbierać" — tu określano miejsce i czas zbiórki. Nocami załadowywano transport za transportem, pociągi ruszały na wschód, w niewiadomą przyszłość.

Szczęśliwsi spośród wysiedlonych byli ci, którym udało się wyjechać bez parotygodniowej kwarantanny w obozach zbiorczych. Dzieci ginęły tam setkami z zimna i epidemii. Rewizje rabowały ostatnie resztki mienia, zdzierano obrączki ślubne z palców. Pociągi w ciężkich mrozach pierwszej zimy wojennej jechały nieopalane. Plombowanych drzwi nie otwierano nieraz przez trzy doby.

Kraków przyjął 17 tysięcy wysiedlonych. Na stacje wyjeżdżały sanitarki i potrzebniejsze od nich trupiarki. Z rąk nieprzytomnych matek wyjmowano skostniałe trupy dziecięce. Wozy oczyszczano ze zwłok, chorych i nagromadzonych w czasie podróży brudów z niemiecką systematycznością. Ponieważ jednak na stacji "stolicy G. Gub." dochodziło do dramatycznych scen, większość pociągów stawała parę kilometrów przed miastem.

Wielkie uspołecznione miasta zorganizowały natychmiastową pomoc. Gorzej było w małych ośrodkach. Pociągi zajeżdżały na stację, nie dawano wysiedlonym żadnego zlecenia. Ludzie zmarznięci i głodni obawiali się na własną rękę podejmować decyzję. W Sokołowie Podlaskim taki pociąg stał kilka dni i nocy na stacji. Dopiero energiczna interwencja ze strony miejscowej ludności poskutkowała. Wysiedleni pokryci szronem, słaniający się na nogach zaczęli szukać pomieszczenia. Specjalnie gorąco przyjęła wysiedlonych wieś, wychodząc po nich wielokrotnie z chorągwiami kościelnymi, z kotłami gorącej strawy.

Były jednak transporty nieugięte, wyjeżdżające z hymnem narodowym na ustach. Niemcy kolbami próbowali uciszyć słowa "nie zginęła" — tłum śpiewał. W jednej z wsi w powiecie śremskim wysiedleni ruszyli pochodem na dworzec, śpiewając "Rotę". Do zrozpaczonej i rozbitej przed chwilą jeszcze gromadzy przemówił tamtejszy działacz spółdzielczy. "Nie czas nam teraz płakać" — powiedział. — "Jeśli nie zginiemy w tej tułaczce, wrócimy do naszych progów". Niemcy zaskoczeni postawą tłumu nie zareagowali tym razem.

Tych, których pozostawiono na terenach zachodnich, gdyż byli niezbędni w pracy — pozbawiono wszystkiego. Przerzucano z powiatu do powiatu, z gminy do gminy, z ulicy na ulicę. Chodziło tylko o to, by przy okazji przeprowadzki zabronić zabierania rzeczy ze sobą.

Niemcy, zwłaszcza polscy obywatele, nie umieli opanować swej chciwości. Rzucili się na bezpańskie dobro, jak hieny. Każde gospodarstwo wydawało im się za marne, apetyty rosły z dnia na dzień. Walczyli ze sobą o co lepsze grunta, o lepsze zabudowania. Byli tacy, co zmieniali czterokrotnie decyzję, przechodzili na co raz lepsze gospodarstwa, aż wreszcie sami Niemcy, nie mogąc opanować sytuacji, położyli kres ciągłym wymianom.

Niemczenie szło co raz brutalniej, sięgało co raz głębiej. W każdym powiecie zostawiono tylko jeden kościół otwarty dla Polaków. Masowo poaresztowano księży. Nie wolno było wchodzić w związki małżeńskie. Księża dawali śluby za indultem w mieszkaniach prywatnych, potajemnie. W pierwszych dniach rozbito pomnik Chrystusa Króla w Poznaniu, w kościołach na prowincji porobiono składy zboża /Kórnik/. Młodzież tysiącami wywożono na roboty do Rzeszy, starych i chorych umieszczano w obozach za drutami na wymarcie. Taki wielki obóz starców był w Jabłonkowie na Śląsku Cieszyńskim. Porywanie starców od rodzin nazywało się urzędowo: "uwolnieniem samorządów od ciężaru utrzymywania starców". Miałam przyjaciół w Żywiecczyźnie, którzy nadludzkim wysiłkiem uratowali swoich starych rodziców przed okropną śmiercią w Jabłonkowie.

Słowo "Rzesza" w Gubernatorstwie brzmiało pogrzebowym dźwiękiem. Rozchodzące się co pewien czas pogłoski o przyłączeniu tej czy innej okolicy do Rzeszy budziły strach i grozę.

Mimo to Polacy z "Rzeszy" przygnieceni przymusem podpisywania Niemieckiej Listy Narodowej, przymusem służby we wrogiej armii ani na chwilę nie zatracili duchowej łączności z resztą społeczeństwa polskiego.

Ci zaś, którzy przybyli do Gubernatorstwa są wspaniałym przykładem żywotności narodu polskiego. Za grosze otworzyli sklepy, które potrafiły utrzymać się stać się poważnym czynnikiem gospodarczym. Rozwinęli zdrowe, uczciwe rzemiosło, świetną hodowlę i rolnictwo na dzierżawach. O talentach gospodarczych naszych rodaków z Zachodu wiedzieliśmy zawsze, teraz jednak zrozumieliśmy ich niezłomną i świadomą postawę wobec Niemców. Znają oni swych bezpośrednich sąsiadów lepiej i gruntowniej, niż Polacy z centralnej i wschodniej Polski. Bardzo to ważne, aby mieli po wojnie znaczący głos w sprawie urządzenia życia polskiego w Odrodzonej Ojczyźnie.

MARIA BRZESKA



Dziecko wysiedlonych na nowym miejscu



Ziemianka zbudowana przez rodzinę wysiedleńców

Grupa wysiedlonych kobiet i dzieci



* Porównaj poprzednie artykuły cyklu: "Powszedni dzień terroru" druk. w nr. 6, "Życie ulicy" druk. w nr. 7, "Wobec wydarzeń wojennych" druk. w nr. 8, "Dziecko i matka" druk. w nr. 10, "Kobieta w walce" druk. w nr. 11, "W domu" druk. w nr. 13, "Z Niemcami pod jednym dachem" druk. w nr. 14-15, "Humor w dniach grozy" druk. w nr. 17, "Wsi spokojna, wsi wesoła . . ." druk. w nr. 22, "Pożywienie, odzież, opał" druk. w nr. 26, "Stosunki komunikacyjne" druk. w nr. 28 "Polski Walczącej" z b.r.

Mysz polna

Nie ma statku na którym nie było by myszy, szczurów, karaluchów i innych towarzyszy marynarza. Lecz są to pospolitaki, które się klnie, szczególnie gdy dobiorą się do prowiantury.

Ta była inna.

Przede wszystkim nie była zwyczajną szarą myszą. Pochodziła zapewne z tych myszy, które są miłe. Poznałem się z nią w czasie pewnej podróży na Morze Śródziemne, gdy parę dni po wypłynięciu w morze, zszedłszy nocą z wachty i umywszy się, położyłem się w koji z książką w ręku. Pogoda była dobra, statek płynął spokojnie i na pokładzie było tak cicho, że w kabinie słyszało się komendy oficera służbowego na mostku. Po chwili usłyszałem szelest, trochę później coś jak gdyby drapnięcie, i z przewodu wentylacyjnego łączącego kilka kabin, spadła na kanapę — mysz.

Gdybym był kobietą, prawdopodobnie narobiłbym takiego krzyku, że artylerzyści na wszelki wypadek odpaliliby kilka razy z działa, sądząc, że dojrzano okręt podwodny, lub co najmniej peryskop. Lecz bogi na szczęście obdarzyły mnie szlachetną płcią, więc spokojnie obserwowałem, co mysz będzie robić dalej.

Przede wszystkim okazało się, że jest myszą polną. Taką, jakie znajdywało się w Polsce w snopie zboża, kopie siana czy sąsieku. Jasno-popielata, z czarną pręgą wzdłuż grzbietu i ogona, dużymi wąsami i ślicznymi, olbrzymimi oczami patrzącymi wkoło ze strachem.

Skąd się wzięła na statku? Przybyła chyba z ładunkiem lub prowiantem, i była niesłychanie zdziwiona i oszołomiona nowym otoczeniem. Siedziała teraz na kanapce o metr ode mnie, gładząc łapkami sierść i myjąc pyszczek. Tak jak to robi kot. A później ruszyła na zwiady.

Kabina na statku nie jest duża. Ot koja, pod nią parę szuflad, obok szafa, dalej kanapka, umywalka, krzesło i biurko, a nad nim półka z książkami. Wszystko stłoczone w pudełku trzy i pół metra na trzy.

Mysz obeszła i zaznajomiła się z całym tym umeblowaniem, później po kablu od lampy weszła na biurko, zjadła parę okruszyn czekolady, poczem weszła na półkę między książki i widocznie usnęła. Ja w chwilę później też.

Nazajutrz o tej samej porze przyszła znów. I tak przychodziła co noc. Oswoiła się zupełnie, siadywała na ręce i czarnymi ślepkami patrzała co jej przyniosłem. Mleko piła z łyżeczki, bardzo lubiła czekoladę i kukurydzę, a sypiała stale na półce z książkami. Raz tylko, gdyśmy stali na kotwicy i sąsiad mój obchodził huczne imieniny połączone ze strzelaniem — nazajutrz nie mogłem jej nigdzie znaleźć i bałem się, że złapały ją nasze tłuste koty. Lecz następnej nocy, trochę wystraszona zjawiła się znowu.

I mieszkaliśmy sobie zgodnie w jednej kabinie do czasu aż wyszliśmy w podróż do Gibraltaru. Był to okres, kiedy Niemcy koncentrowali na tej trasie nie tylko okręty podwodne, lecz także i dalekosiężne lotnictwo bombowe. Podróż zapowiadała się ciekawie.

Parę dni przeszło nam w morzu w niezłej pogodzie, weszliśmy już w zasięg bombowców, lecz ani jednego alarmu nie było. Radiostacja odebrała parę ostrzeżeń o niemieckich okrętach podwodnych, parę razy zmieniliśmy kurs, zrobiono kilka próbnych strzelań, lecz w powietrzu ciągle było cicho. Za cicho.

O ósmej rano objąłem wachtę na radiostacji. Trzy godziny przeszły na nasłuchiwaniu, bez czegokolwiek ważnego. Parę minut po godzinie jedenastej, usłyszałem z zewnątrz najpierw terkot jednego karabinu maszynowego, później zagrał drugi, trzeci, działka przeciwlotnicze. A później długie serie całej orkiestry i potężniejący huk nurkującego bombowca mówiły, wyjąc, że jesteśmy atakowani.

Najpierw szarpnęła statkiem seria trzech bomb, które spadły w morze z prawej burty. /O tym dowiedziałem się po ataku; wewnątrz ma się wrażenie, że każda bomba trafia./ W jakie dwie minuty później, dziób statku podskoczył do góry — dwie bomby wyrwały dwa olbrzymie słupy wody przed dziobem. Trzecia nie wybuchła. Jeszcze parę minut przeszło i znów statkiem szarpnął wybuch, znów z prawej burty. A potem chwila ciszy, przerwana nagle wyciem całej broni maszynowej na pokładzie, przez które w moment później przebiły się nowe, nieco inne dźwięki. To bombowiec, któremu widocznie brakło już bomb, ostrzeliwał nas z karabinów i działek.

Dwa razy przeleciał nad statkiem plując ogniem wzdłuż całego pokładu, po łodziach ratunkowych, mostku i baku. Wewnątrz opancerzonej radiostacji słychać to było tak, jak gdyby ktoś uderzał w lód laską zakończoną gwoździem. Setkami lasek naraz. Zresztą mało jest w takim wypadku czasu na zastanawianie się nad tym. Człowiek kuli się, starając się przedstawiać jak najmniejszy obiekt i cel. Nawet nie zastanawia się, jak drogie jest życie. Po prostu jedyną myślą wówczas i nadzieją jest, że pocisk nie przebije cienkiego opancerzenia i nie weżre się gorącą stalą w ciało. Na moment nic innego nie jest ważne. Nic.

Tak czuje się atak, gdy znajduje się gdzieś wewnątrz, skąd nie widać kto, w jakiej sile i kiedy atakuje. Zupełnie natomiast inna jest reakcja, gdy przyjmuje się atak stojąc za karabinem maszynowym czy działkiem. Tam ma się ręce pełne pracy. Tam ma się cel i tam można się mścić. Za Gdynię, Hel i Oksywie . . . Za nasze wioski, za miasta i rodziny i bliskich . . . Za tych, którzy cierpią . . . I wreszcie za nasze statki, które już nie wrócą do macierzystego portu, i kolegów, którzy na dnie różnych mórz spoczywają.

Atak się skończył. Jeszcze kilka krótkich nerwowych serii z karabinów — i cisza.

Z mostku pytają przez tubę:

—Cały Pan?

—Cały — odpowiadam — A u was?

—Wszyscy cali, górny kompas tylko posiekany, no i pełno dziur po całym pokładzie i kabinach. Pańskiej kabinie też się dostało.

Dochodzi godzina dwunasta i drugi radio-oficer przyszedł mnie zmienić. Klnie, bo atak zaskoczył go w momencie, gdy opalał się na pokładzie łodziowym. Podmuch wybuchu i woda jaka po nim spadła na pokład, zabrały mu spodnie i leżące obok ubranie, i cały czas ataku przesiedział nagi między skrzynią z akumulatorami a *skylightem* maszynowni. Pewnie się upije w porcie z rozpaczy, bo mu teraz wszyscy dokuczają, że ze strachu zgubił spodnie.

Poszedłem do swej kabiny.

Już z pokładu zauważyłem cztery nieduże dziury ułożone w linię na burcie kabiny . . . W kabinie na podziurawionym biurku leżała rozłupana rozrywającym pociskiem działka — półka i rozsypane książki. Prócz tego na przeciwległej ścianie wisiało poszarpane oparcie kanapy, chwiejąc się lekko z ruchem statku.

Zacząłem zbierać książki i znalazłem pod nimi mysz. Leżała przygnieciona ciężarem kilkunastu książek. Nie żyła już, choć otwarte czarne ślepka zdawały się jeszcze patrzeć przytomnie. Biedna polna mysz, która trafiła na morze.

Żal mi jej było, jak może być żal konia, psa czy innego zwierzaka, do którego bardzo się przywiązało. I choć wstydząc się może tego uczucia, wyrzuciłem ją zwyczajnie za burtę w morze, żal mi jej było cały ten dzień i żal mi jest jej jeszcze dziś.

Po południu tego samego dnia mieliśmy więcej ataków. Tym razem zjawiło się siedem bombowców. Nas bezpośrednio nie atakowały, biorąc za cel inne statki w konwoju. Stojąc przy działku, parę razy miałem okazję otwarcia ognia, gdy leciały blisko, lecz to już nie jest to samo, co bezpośredni atak. Tam jest się głównym aktorem a tu statystą. Tam mimo napięcia każdego nerwu, pozostaje jeszcze tyle miejsca w świadomości, by sobie zdać sprawę, że patrzy na nas cały konwój, i że później na statkach będą mówić jak ten *Polish ship* się bronił. A tu jest się widzem. Wprawdzie widzem, który w każdej chwili może stać się primadonną, lecz zawsze widzem. Po godzinie nastał spokój.

Dziwne, że po rzuceniu tylu bomb, nie zatopili nam nawet jednego statku. A my mimo tak dużego ognia zapaliliśmy im tylko jeden bombowiec.

—Latali za wysoko — orzekł Ignaś, kucharz okrętowy.

Przez dwa następne wieczory, Niemcy zastosowali nową metodę. Atakowali po zmroku, zrzucając wpierw rakiety oświetlające, po czym mając konwój oświetlony, jak na dłoni, sami ukryci w ciemnościach wysoko nad nim, obrzucali nas hojnie bombami.

Znieśliśmy i to, choć ze wszystkich ataków ten jest chyba najgorszy. Ma się uczucie, jak gdyby w ciemnej nocy ktoś oświetlił człowieka latarką, oślepił, i bezradnego obrzucał kamieniami.

A później wyszliśmy już z ich zasięgu, i niedługo potem zakotwiczyliśmy pod skałą Gibraltaru, gdzie koledzy obiecali mi znaleźć autentyczną polską mysz polną.

Lecz nie znaleźli. Ani tam, ani w innych portach. Takiej zwykłej, małej polskiej myszy polnej z czarną pręgą wzdłuż grzbietu.

STEFAN GAZEŁ

Skrzynka pocztowa

JEDEN Z "NORMANDCZYKÓW" PISZE

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 30 z dnia 29 lipca r.b. "Polski Walczącej" ukazał się obszerny reportaż Tymona Terleckiego z obozu w X. p.t. "Jeńcy z Normandii". Jako jeden z "normandzkich jeńców" reportaż ten przeczytałem ze zrozumiałym zainteresowaniem. Autor na szeregu przeżyć poszczególnych jeńców w sposób dosadny maluje dole i niedole tych licznych z nas, których złośliwy los zapędził do wrogich szeregów, którzy we wciśniętych na grzbiety nienawistnych mundurach mieli być obrońcami Rzeszy, mieli wywalczyć Hitlerowi i jego klice panowanie nad światem.

Wielu spośród nas, zanim przywdziało niemiecki mundur, przeszło wprost niebywałe koleje losu. Niejednokrotnie opisanie tych przeżyć nawet bez żadnego ubarwiania zajęłoby pokaźny tom. Dla przykładu mógłbym podać chociażby siebie. Może szczęście w tym kataklizmie wojennym wyjątkowo mi dopisywało, pomimo iż wszystkie złe moce sprzysięgły się przeciwko mnie . . . Jak dotychczas wyniosłem głowę cało . . . Gdy dzisiaj zastanawiam się nad tym, co już minęło, co już przeszło, jak jakiś zły i koszmarny sen, to po prostu zaczynam się zdumiewać, że do zniesienia tego wszystkiego starczyło mi sił fizycznych i moralnych. A były chwile ciężkie, bardzo ciężkie . . . A jednak jakoś przetrzymałem.

Dzisiaj już wiem, że mi nic nie grozi — ani więzienie, ani obóz koncentracyjny, ani kula Gestapowca. Nie grozi mi już również możliwość nałożenia wrażego munduru, którego z tak wielką ulgą pozbyłem się na brytyjskich wyspach i czuję się, jakbym zrzucił z siebie jakieś wielkie i ciężkie brzemię lub kajdany, jakbym wyzbył się czegoś, czego musiałem się wstydzić. Ileż to razy stykałem się z rodakami w najróżnorodniejszych okolicznościach, a jednak nigdy nie miałem na tyle siły i odwagi, aby przyznać się, że i ja jestem Polak, że i we mnie chociaż pod niemieckim mundurem bije serce przepełnione takim samym uczuciem, jak serca tych, którzy w szeregach Armii Podziemnej w Kraju prowadzą nieustraszoną i nieugiętą walkę z odwiecznym wrogiem, jak serca tych, którym szczęśliwy los pozwolił na noszenie polskich mundurów czy to w oddziałach lądowych, czy też w lotnictwie lub marynarce . . .

Obecny mój pobyt na wyspach brytyjskich nie jest dla mnie czymś nowym — jestem już tutaj po raz drugi i po raz drugi jako jeniec wojenny. Jest to wprost niewiarygodne, ale niestety prawdziwe. Pierwszy raz dostałem się do niewoli angielskiej jako 19-letni chłopak w sierpniu 1918 r., gdy jako stały mieszkaniec Torunia zostałem wcielony do szeregów armii niemieckiej. Przebywałem wówczas przez szereg miesięcy w obozie jeńców pod Londynem. Obecnie zawędrowałem aż do Szkocji. Moja obecna sytuacja jest jednak zupełnie inna — jestem wśród swoich. Nie wymaga to już chyba żadnych komentarzy — to mówi już samo za siebie.

O dalszy swój los jestem zupełnie spokojny, martwi mnie jedynie los syna, który w maju 1942 r. został wzięty do armii niemieckiej. Jeszcze w maju r.b. otrzymałem od niego list z Marsylii. Bardzo bym chciał, aby spotkał go los podobny do mojego, co ze względu na rozwój wypadków wojennych na tamtejszym terenie jest bardzo możliwe. Da Bóg, że może się wkrótce spotkamy.

Przesyłam wyrazy szacunku

Leon Pawlak

W SPRAWIE NAWIĄZANIA KORESPONDENCJI ANGIELSKIEJ

To the Editor,

Dear Sir,

As a young man, aged 22, interested in the welfare of Poland and her people, I wonder if you would put this idea in your paper "Polska Walcząca".

In my opinion there must be many young Polish people, both male and female, in the Polish Forces who would welcome letters from we English. Besides the personal idea, there would be an additional benefit in that we English would be able to learn Polish and *vice versa*.

I would welcome the chance to write to any Polish man or woman in England, or particularly in the area of the country in which I live. I feel that this would help Anglo-Polish relations a great deal.

Yours very sincerely,

Cooper Stormont

345, Old Chester Rd., Rock Ferry, Birkenhead, Cheshire.

PODZIĘKOWANIE Z AFRYKI POŁUDNIOWEJ

Wielce Szanowna Redakcjo!

Uprzejmie proszę o podanie do wiadomości publicznej poniższego:

W imieniu własnym i Kolegów leżących w Baragwanath Military Hospital, P.O. Box 7785, Johannesburg, South Africa, najserdeczniej dziękuję tym wszystkim, którzy przysłali na moje ręce w okresie od 1.I.1944 do 30.VI.1944 r. książki, broszury i czasopisma.

Hojnymi ofiarodawcami byli pp.: Drągowscy Antoni i Irena oraz ich znajomi i urzędnicy Konsulatu w Glasgow, którzy przysłali: Sienkiewicz: "Potop", Hemar: "Marchewka", Prus: "Lalka", Pruszyński: "Droga wiodła przez Narwik", MacCallum: "Nauka języka angielskiego", Tennenbaum: "Europa środkowo-wschodnia w gospodarce światowej", Doboszyński: "Wielki naród", cz. II., Dom: "Uwagi o kampanii wrześniowej", "Zagrody i wspólnoty", 7 broszur Mackiewicza, Zapora: "Na szlakach monopartii", "Kraj lat dziecinnych", Rose: "The Growth of Polish Democracy", Bruce: "The Eastern Boundaries of Poland", McKee: "Poland, Russia and Our Honour", 38 egzempl. "Polski Walczącej", 37 egz. "Wiadomości Polskich", 140 egz. "Dz. Polskiego i Dz. Żoł.", 26 egz. "Dziennika Polskiego". 56 egz. "Dz. Żołn.", 15 egz. "Tygodnika Polskiego", 45 egz. innych pism polskich jak "Sprawa", "Biuletyny Światpolu", "Co słychać", "Poradnik świetlicowy", "Listy z Londynu", "Robotnik", "Myśl Polska", 76 pism angielskich, jak — "Life", "Picture Post", "New World", 5 egz. "Polish Fortnightly Revue", 2 egz. "La France Libre", Hart: Obrona dynamiczna; p. Balcerzak: Mjr. Fryz . . .; p. Wierzch: 22 egz. "Polski Walczącej", 10 egz. "Wiadomości Polskich", 3 egz. "Skrzydeł", 7 egz. "Nowej Polski", 1 "Myśl Lotnicza", broszury: Zbyszewski: "Z Marszałkowskiej na Piccadilly", Szyfman: "Ogólne zasady elektromechaniki", "Księga ponurych niedopowiedzeń", "Sam na sam", "W styczniu 1944", "Nowogródek", "Wilno", 3 egz. "Current Affairs", "Polish Wings Over Britain", "Free Europe", "Readers Digest";

p. Harasowska Jadwiga: 4 egz. "Voice of Poland";

p. Dienstl-Dąbrowa: 5 egz. "Polski Walczącej", 3 egz. "Skrzydeł";

p. Szaszkiewicz Cezary: "Żołnierz polski w Narwicku".

Serdeczne Bóg zapłać wszystkim. Inne pisma proszę o przedruk.

Wilhelm Słaby

W SPRAWIE BRAKU PODRĘCZNIKÓW W II. KORPUSIE

Panie Redaktorze,

Będąc stałym czytelnikiem "Polski Walczącej", interesuję się między innymi rubryką "Zbiórka książek". Boleję nad tym, że przy braku podręczników, stanowiących dla nas w obecnych warunkach jedyne źródło już nie ugruntowania, ale przypomnienia sobie wiadomości szkolnych, Panowie dysponują dosyć pokaźną ilością interesujących nas podręczników, które niestety bardzo rzadko dochodzą do rąk żołnierza. Zdaję sobie sprawę, że większość z nich skierowuje się do bardziej potrzebującej pomocy naukowych młodzieży szkolnej ze Środkowego Wschodu, lub ludności cywilnej w Afryce. Niemałej jednak pomocy potrzebują i tacy, którzy mając szczęście ukończyć gimnazjum przed wojną, w ciągu pięcioletniego pobytu w różnych warunkach, zapomnieli nawet własną historię.

Zwracam się osobiście z gorącą prośbą do Pana Redaktora, o spowodowanie przesłania chociażby paru podręczników z historii powszechnej, z uwzględnieniem ojczystej historii literatury. Dołożę wszelkich starań, aby każda przysłana książka była wykorzystana przez jak największą ilość żołnierzy z mojego oddziału.

Jestem przekonany że moje starania przy poparciu Pana Redaktora przyniosą korzyść i zadowolenie wielu kolegom. Za przysłane podręczniki zobowiązuję się natychmiast uregulować podaną należność.

Z góry dziękuję za przychylne ustosunkowanie się do mojej prośby.

Załączam serdeczne pozdrowienia żołnierskie z nad Adriatyku

Ryszard Jędrczak

Poradnik żołnierski

St. szer. L.M. — Sprawa możliwości studiów. — Zapytuje Pan, jakie są możliwości kontynuowania studiów dla człowieka, któremu udało się skończyć w ciągu tej wojny na obczyźnie studia średnie /liceum/, a który, służąc w wojsku, pragnie kształcić się dalej. Zaznacza Pan słusznie, że jest to problem ważny dla Kraju, bo ludzie z niedokończonymi studiami, po prostu bez żadnego fachu, ludzie "niedokończeni", będą w przyszłości ludźmi o niezaspokojonych ambicjach, dyletantami, elementem może nawet szkodliwym. A tymczasem — pisze Pan dalej — szeregi polskiej inteligencji poniosły bardzo dotkliwe straty, których nie da się nadrobić nawet w ciągu jednego pokolenia. Ludzi wykształconych, przygotowanych fachowo do objęcia tylu powstałych luk w każdej niemal dziedzinie życia — jest i będzie w Polsce katastrofalny brak. Zaznacza Pan jeszcze, że studia średnie ukończył Pan w pierwszych latach pobytu na tej wyspie i od tego czasu na próżno czyni Pan zabiegi o rozpoczęcie jakichkolwiek studiów. Dodaje Pan, że wyszedł Pan z Polski mając rok do ukończenia studiów średnich.

Drogi Kolego! Całkowicie podzielamy Pańskie poglądy na sprawę katastrofalnej sytuacji, w jakiej znajdzie się Polska po tej wojnie, wobec wytępienia inteligencji przez okupantów. Podzielamy Pańskie zdanie, że sprawa umożliwienia młodzieży studiów nie była od początku postawiona tutaj właściwie. Co prawda później sytuacja nieco się poprawiła. Zarówno czynniki cywilne, jak i wojskowe okazały dla niej większe zrozumienie i część młodzieży uzyskała możność dalszego kształcenia się. Oczywiście — może nie w dostatecznej ilości, może nie wszyscy, którzy mogli i powinni się kształcić, uzyskali tę możność. W tych sprawach nie możemy zabierać dziś głosu, bo w grę tu wchodzą względy . . . gotowości bojowej, tak dzisiaj aktualne.

Niemniej przeto nasze czynniki oficjalne nie zaniedbują tej sprawy, czego dowodem fakt ogłaszania zapisów na Politechnikę, na Polski Wydział Architektury na Uniwersytecie w Liverpoolu i na studia medyczne — od pierwszego roku tych studiów poczynając. Komunikaty o otwarciu zapisów na te studia były ogłoszone w ostatnich dniach, m.in. w "Polsce Walczącej" — w nr. 31 z 5.VIII.44 /Architektura/ i w nr. 33 z 19.VIII.44 /Politechnika/.

Ponieważ nie pisze Pan, jaki dział studiów specjalnie Pana interesuje, przeto poprzestajemy na wymienieniu powyższych trzech rodzajów studiów, na które przyjmowani są kandydaci na pierwszy rok. Oczywiście Pan, jako wojskowy, musi uzyskać zwolnienie z wojska, względnie odkomenderowanie na studia. O to musi Pan starać się normalną drogą służbową. Zaznaczamy, że zrozumienie dla konieczności umożliwienia młodzieży kontynuowania studiów jest duże, nie tylko ze względu na jej przyszłość, ale przede wszystkim ze względu na olbrzymie potrzeby Kraju w tym względzie. Możliwości dostania się na studia w nadchodzącym roku akademickim są duże. Ale trudno przewidzieć jaki będzie rozwój sytuacji politycznej.

Dla Polaków w Rosji: £11,120

Redakcja "Polski Walczącej" przeznacza na pomoc dla Polaków w Rosji £5 /pięć funtów/ — nieprzyjętą opłatę za ogłoszone w "Polsce Walczącej" poszukiwanie Jana Świerszcza. Opłatę przesłał J. Olszewski z Rusape, Southern Rhodesia, Africa.

* * *

Równowartość $5 w kwocie £1.4.8 /słownie: jeden funt, cztery szylingi, 8d./ niepodjęte przez Czesława Rybnika, a przesłane dla niego przez p. Zofię Rutkowską z Passaic, N.J. — przekazujemy na pomoc dla Polaków w Rosji.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £6.4.8 /słownie: sześć funtów, cztery szylingi, 8d./ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £11,120.2.1 /słownie: jedenaście tysięcy sto dwadzieścia funtów, dwa szylingi, 1d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

DLA RANNEGO ŻOŁNIERZA

Polski Czerwony Krzyż zwraca się z ponownym apelem do społeczeństwa polskiego o składanie drobnych upominków dla rannych polskich żołnierzy.

Dary prosimy kierować pod adresem Polskiego Czerwonego Krzyża, 34, Belgrave Sq., London, S.W.1, z dopiskiem "Dla rannego Żołnierza".

Polski Czerwony Krzyż

Zbiórka książek

Panie Redaktorze,

Zebrane wśród kolegów książki i broszury: A. Conan Doyle: "Groźny cień" /4 zeszyty/, R. Umiastowski: "12 mil do Warszawy . . . 30 mil do Paryża", A. Słonimski: "Popiół i wiatr", Cz. Poznański: "Federacja ale jaka", T. Lubicz: "Drugi front", M. Norwid Neugebaner: "Kampania wrześniowa", A. Fiedler: "Ryby śpiewają w Ukajali", "Kalendarz P.C.K.", "Od Zagłoby do Wiecha", O. Laskowski: "Grunwald", S. Mackiewicz: "O jedenastej powiada aktor sztuka jest skończona", "Po angielsku w kilka dni" — przesyłam dla Rodaków za granicą według uznania Pana Redaktora

Wacław Ik . . .

* * *

Szanowna Redakcjo,

Przesyłam w załączeniu: 4 tomy "Krzyżaków" oraz K. Koźmińskiego: "Kamienie na szaniec" — dla Polaków na Wschodzie.

Z poważaniem

Mietelski Henryk

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Redakcja "Polski Walczącej",

W związku z odejściem kapelana tutejszego szpitala rev. Fitzgerald'a, Irlandczyka, w dowód uznania za jego pełną życzliwości i serca pracę przesyłamy kwotę £1.8.6 na Polish Children Rescue Fund.

Łączymy wyrazy szacunku

Pacjenci Polskiego Szpitala w G.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam Postal Order na sumę sh.30 nieprzyjętą przez p. Krukowską i proszę uprzejmie o przekazanie tych pieniędzy na Fundusz Ratowania Dzieci Polskich.

Janina N.

Na "paczki od serca": £3,681

Redakcja "Polski Walczącej",

Dla uczczenia pamięci ś.p. kpt. inż. Alfreda Nechaya przesyłam £1 /jeden funt/ na "paczki od serca".

Z poważaniem

F.G.

* * *

Dnia 13-tego sierpnia b.r. podczas nabożeństwa dla żołnierzy polskich wyznania prawosławnego w Edinburgu w Holy Trinity Church — zebrana została na "Paczki od serca" kwota £4.

* * *

Opłatę w kwocie sh.2, nadesłaną na pokrycie kosztów wysyłki słowników pod adresem sierżant Franciszek Pal . . ., Middle East, redacja przeznacza na "paczki od serca".

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £5.2.0 /słownie: pięć funtów, dwa szylingi/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,681.6.8 /słownie: trzy tysiące sześćset osiemdziesiąt jeden funtów, sześć szylingów, 8d./, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

POLITECHNIKA

Rada Akademickich Szkół Technicznych zawiadamia, że przyjmuje zapisy na akademickie studia techniczne wszystkich lat i wydziałów.

—Kandydaci winni składać podania o przyjęcie na studia do dn. 1-go września b.r. na adres:

Rada Akademickich Szkół Technicznych, City & Guilds College, Room 230, Exhibition Road, London, S.W.7.

W podaniu o przyjęcie na studia techniczne należy podać życiorys, wykształcenie, ewent. odpisy dokumentów stwierdzających odbyte studia oraz wydział na jaki kandydat chce być wpisany.

Osoby wojskowe winny wnieść drogą służbową podanie o odkomenderowanie na studia techniczne pod opieką Rady A.S.T. Dla osób cywilnych obowiązuje zezwolenie na studia z Ministry of Labour.

Przyjęci na studia otrzymują stypendium.

Kandydaci, którzy złożyli podanie do Rady A.S.T. po 1 marca 1944 r. nie potrzebują podań ponownych do Rady nadsyłać.

Przewodniczący
Rady Akademickich Szkół Technicznych
—Prof. S. Płużański

KOŁO HANDLU ZAGRANICZNEGO PRZY ŚWIATOWYM ZWIĄZKU POLAKÓW Z ZAGRANICY

W dniu 12 sierpnia b.r., w klubie Orła Białego w Londynie, z okazji zakończenia cyklu wykładów gospodarczych dla działaczy emigracyjnych, odbyło się zebranie organizacyjne stowarzyszenia p.n. "Koło Handlu Zagranicznego przy Światowym Związku Polaków z Zagranicy".

W zebraniu wzięło udział szereg działaczy gospodarczych z różnych terenów Polonii zagranicznej, kilku członków Koła Eksportowego w Polsce oraz handlowców zainteresowanych w rozwoju międzynarodowej wymiany gospodarczej.

Założyciele ustalili zasadnicze cele i ramy organizacji poczym powołali Zarząd Tymczasowy Koła. Prezesem Koła wybrany został p. inż. W. Karasiewicz z Paryża.

Zainteresowani działacze gospodarczy z terenów zagranicznych proszeni są o zgłoszenie swoich adresów w siedzibie Światpolu: 45, Belgrave Square, London, W.1. /Koło Handlu Zagranicznego./

WERINAJSEK

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

NA DWORCU W LONDYNIE



Policjant: — A wy na co czekacie chłopcy?
—Na transport ewakuowanych dzieci . . .

AUTENTYCZNE

—Czy pan wie, że ten pan K., który był jeszcze we Francji porucznikiem, w Szkocji kapitanem, teraz we Włoszech awansował na podpułkownika?

—Co pan mówi??? Ten poszedł w górę! . . .

—I to na jaką — na Monte Cassino . . .

W NORMANDII



Szef: — Ale który z moich chłopców zdążył się już zaręczyć z Francuzką? . . .

ROZMOWA DWÓCH RODAKÓW /AUTENTYCZNE/

—Mam wiadomości z Polski. Nie wiem czy pan znał burmistrza X.?

—No chyba! Ale ja o nim źle słyszałem! On przecież wyrwał za granicę! . . .

—Owszem, najpierw bawił przez dwa lata w Kazakstanie, teraz bawi w Ugandzie w Afryce . . .

NASI WE FRANCJI



—Coś ty jej zrobił?
—Obciąłem jej włosy — bo mnie zdradziła z szefem . . .

Z ŻYCIA

—Pan wyjeżdża do Francji?

—Ależ panie, nigdy w życiu! . . . Tu się ożeniłem, tu mam żonę, dzieci, dom i coś grosza, więc po co się włóczyć na stare lata po obcych krajach . . .

Z BRUKU LONDYŃSKIEGO

—Wie pan, że w związku ze zmianami w dzienniku londyńskim, pismo ma zmienić znowu tytuł???

—Na jaki?

—"Dziennik Polski i Dziennik Podawczy Ministerstwa Informacji" . . .

NIBY RACJA

—Panie pułkowniku, co właściwie jest z naszym Amgotem? Nic się o nim nie słyszy!

—Mój panie, a czy o "Karcie Atlantyckiej" dużo się słyszy? . . .

WŚRÓD PANCERNIAKÓW

—Feluś, Maczek chyba teraz dostanie Order Łaźni?

—Ty nie bądź złośliwy! On jeszcze niejedną łaźnię zrobi Niemcom i za to dostanie — Podwiązki! . . .

W LONDYŃSKIEJ KAWIARNI

—Co pan mówi? . . . To kto z "Dziennika Żołnierza" właściwie pozostał w Londynie?

—Nagłówek . . .

ODPOWIEDŹ

—Czy pan słyszał, że Zygmunt Nowakowski został majorem czasu wojny?

—Co pan mówi? A dlaczego majorem???

—Ponieważ nie chciał wpaść do "grupy pułkowników" . . .

OSZCZĘDNY



—Panie Bolesławie, dlaczego Pan mnie omija?
—Skończyła mi się praca zlecona i już nie pożyczam . . .

Tekst i rysunki: TONY

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Czy wiecie . . . ?

1/ Która z następujących nazw oznacza ser, a która artystę? a/ Cellini, b/ Bel Paëse, c/ Giorgione, d/ Gorgonzola, e/ Parmigiano, f/ Reggiano, g/ da Vinci.

2/ Czy pierścienie Saturna są: a/ z błyszczącego gazu, b/ złudzeniem optycznym, c/ pierścieniem ze stałego materiału, d/ cienkimi pierścieniami z drobnych, stałych cząsteczek?

/Odpowiedzi znajdują się na końcu tego kącika./

"Peterborough" donosi w *Daily Telegraphie*, że dla użytku armii angielskiej została wydana broszura opisująca rozmaite rodzaje broni używanej przez armię niemiecką. Na okładce jest napis: "Książka ta nie powinna pod żadnym warunkiem dostać się do rąk nieprzyjaciela".

/d/

W Kopenhadze, w kinie podczas wyświetlania obrazu Hitlera wsiadającego do samolotu ktoś nagle zawołał na cały głos: "Pozdrów Hessa". Przedstawienie zostało przerwane, a dyrekcja kina oświadczyła gotowość zwrotu pieniędzy za bilety. Jednak nikt nie zgłosił się po pieniądze. Jak się to mówi: "Dobry żart tynfa wart".

/d/

Odpowiedź: 1/ a/ Cellini był rzeźbiarzem, b/ Bel Paëse to włoski ser, c/ Giorgione był malarzem, d/ Gorgonzola to włoski ser, e/ Parmigiano to malarz, ale także ser inaczej zwany parmezanem, f/ Reggiano to ser, g/ Leonardo da Vinci był malarzem, twórcą słynnego obrazu Monna Lisa.

2/ d/ Cienkimi pierścieniami z drobnych, stałych cząsteczek.

/d/

SPIS RZECZY:

KURS KORESPONDENCYJNY

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Londynie zawiadamia, że Kurs Korespondencyjny przedmiotów polskich, prowadzony przez Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego w Glasgowie, wznawia swą działalność po wakacjach w drugiej połowie września b.r.

Kurs jest w pierwszym rzędzie przeznaczony dla młodzieży polskiej studiującej w szkołach brytyjskich, korzystać z niego może również młodzież znajdująca się w Armii Polskiej w W. Brytanii.

W nowym roku szkolnym, 1944-45, beda prowadzone dwa kursy: 1/ dla nowozgłoszonych; 2/ dla dotychczasowych uczestników, którzy przerobili już materiał 1-go roku nauczania.

Za rozsyłane lekcje od uczniów stałych nie pobiera się opłat.

Zgłoszenia należy kierować do Ośrodka Nauczania Korespondencyjnego — Polish Centre of Teaching by Correspondence, 61. Hillhead Street, Glasgow. W.2.

PO WALNYM ZJEŹDZIE ZWIĄZKU KOLEJARZY POLSKICH W W. BRYTANII

Na walnym Zjeździe Kolejarzy Polskich w W. Brytanii, który się odbył w Edynburgu w dniu 14 sierpnia r.b., uchwalono Statut, deklarację programową Związku i wytyczne dla dalszej pracy Zarządu.

Zjazd wybrał Zarząd Związku w następującym składzie: K. Więcek — prezes, A. Wieleżyński i S. Głód — wiceprezesi, E. Harmider — sekretarz, T. Jacurzyński — zast. sekretarza, A. Karlsbad — skarbnik, H. Ostrowski — zast. skarbnika.

Zarząd przypomina, iż Pan Minister Obrony Narodowej pismem z dnia 15 lipca b.r. L.Dz. 328/W.Pol./44, zezwolił żołnierzom Polskich Sił Zbroj. na należenie do Zw.Kol.Polskich w W. Brytanii, i wzywa wszystkich Kolegów, którzy dotychczas nie zgłosili swego przystąpienia do Związku, aby nadsyłali swe deklaracje do Sekretariatu Związku Kolejarzy Polskich w W. Brytanii, który mieści się: w Londynie — 54, Sloane Street, S.W.1, w Edynburgu — 30 Rutland Square.

Tam też należy kierować korespondencję i zwracać się o wszelkie informacje w sprawach związkowych.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.